

Patricia MacLachlan

Wyspa milczenia

Przełożyła Magdalena Koziej-Ostaszkiwicz

Nie godzę się, że serca ukochanych zamyka
twarda ziemia.

Tak to już jest i tak będzie, bo tak było
nieodmiennie:

Odchodzą w ciemność, mądrzy i piękni.

W koronach

z lilii i wawrzynu odchodzą. Lecz ja się z tym nie godzę.

Edna St. Vincent Millay „Pieśń żałobna bez muzyki”

(fragment)

Koniec lata

Oto pierwsze wspomnienie: niebieski kocyk... bosa stopy ocierają się o

szorstką wiklinę. Gdy gramoli się z kosza, świat nagle fika koziółka. Migają jej przed oczyma drzewa, niebo, chmury i ubity zwirowany podjazd. Potem ktoś unosi ją w górę i mocno trzyma.

Pamięta jeszcze miłe twarze, ale być może widziała je później. Jednak ilekroć powraca to pierwsze wspomnienie (nieraz parokrotnie w ciągu nocy, a nawet za dnia), w obejmujących ją ramionach zawsze czuje się bezpieczna.

Rozdział pierwszy

Wieczorem mój tata tańczył. W dzień był spokojnym, bezkompromisowym wydawcą lokalnej gazety, a wieczorami tańczył.

Usiedliśmy z Lałem Baldellim na werandowej huśtawce i szybko zatkaliśmy uszy dłońmi, gdy zawyła syrena promu, który odpływa o szóstej. W domu jak zwykle tata stepował na stoliku do kawy. Był to niski stolik, z blatem wyłożonym płytkami zielononiebieskiego włoskiego marmuru. Tata uwielbiał stukot butów na marmurze. Tańczył codziennie przed kolacją, po sześciu krakersach (firmy Ritz) z cheddarem (bardzo ostrym), pomiędzy pierwszą whisky, po której było mu wesoło, a drugą, po której robił się smutny.

Zawsze zaczynał powoli od „Ja i mój cień”, potem leciało „Wschodnia strona, zachodnia strona”, a wreszcie „Chwyciłem rytm”, za którym przepadał Lalo. Przychodził do nas zawsze przed kolacją, by nie przepuścić chwili, gdy tata, bez tchu, wymachując rękami, kończył swój dziki taniec, rozpostarłszy ręce na boki, jakby występował przed wielką publicznością. Lalo był jedyną osobą, która nagradzała tatę oklaskami. A później robiła to również Sophie.

Reszta rodziny także „chwyciła rytm”. Gdy tata już tańczył, mama

wyłaniała się z pracowni - uwalana farbą, jeśli źle jej szło, a babcia Byrd zjawiała się po południowej drzemce z potarganymi włosami.

Tego dnia mama wyszła na werandę ze srebrną miską pełną surowego ciasta, które nigdy nie miało zostać upieczone. Przyniosła łyżki dla mnie i Lala, i wielką drewnianą łychę dla siebie.

- Będzie ci smakowało, Larkin - powiedziała.

8

- Jakie? - spytał Lalo, zaglądając do miski.

- Korzenne - odparła mama.

- Jest o wiele lepsze na surowo - stwierdził Lalo.

- No pewnie - uśmiechnęła się do niego, nabrała pełną łyżkę, a potem podała nam miskę.

Mama była pokryta cętkami i smużkami farby. Po ich kolorach mogłam poznać, co malowała. Wyspę. Niebieski był dla stawów, nieba i morza. Zielony dla wzgórz. Jasnozielony dla łąk i pól, ciemnozielony - dla świerkowych zagajników. Mama była chodzącym pejzażem. Więcej farby na mamie niż na płótnie było sygnałem zgryzoty. Znaczyło, że dręczy ją niepokój. Mama spostrzegła, że patrzę na jej ubranie.

- Nie mogę się skoncentrować - poskarżyła się bezbarwnym, smutnym głosem.

Wtem za moimi plecami otworzyło się okno.

- Wyjadacie ciasto? - spytała Byrd.

- Korzenne - odpowiedzieli Lalo i mama jednocześnie. Okno zamknęło się, po czym usłyszeliśmy, jak Byrd otwiera mahoniowe drzwi od swego pokoju. Po chwili zjawiała się na werandzie z łyżką. Lalo ustąpił jej miejsca.

-Mój drogi... - mruknęła i usiadła, robiąc ręką gest, który mama nazywała królewskim.

Byrd wychowywała się w ogromnym domu z kolumnami, licznymi gankami i może rzeczywiście nadawała się na królową. Miała siedemdziesiąt lat, siwe włosy nosiła upięte wysoko, a zmarszczki na jej szyi przypominały naszyjniki. Mawiała często, że cieszy się z posiadania pełni władz umysłowych. Jednak raz, na jakimś zakrapianym ponczem przyjęciu, rzekła, że ma pełno wewnątrz użytkowych, w związku z czym niektórzy miastowi są przekonani, że Byrd ma wiele łazienek, z których jest bardzo dumna.

Ostatnio odkryła ekstrawaganckie pończochy. Teraz nosiła czarne, ozdobione świecidełkami, skrzącymi się przy każdym ruchu. Błyskotki, niby małe pryzmaty, rozsiewały wokół światło i rzucały drżące cętki na sufit werandy.

9

- Świetne skarpetki - pochwalił Lalo, a Byrd się roześmiała.

-Pończochy, Lalo - sprostowała. - Być może kiedyś zamieszkas z dala od tej wyspy i zobaczysz rzeczy, o których ci się nie śniło.

Lalo spojrzał na Byrd z przerażeniem, a jego ręka z łyżką zastygła w połowie drogi do ust.

- O, nie - zachnął się. - Ja nigdy nie opuszczę tej wyspy! Tu jest wszystko! Mama uśmiechnęła się z zadumą.

- Prawie wszystko - przyznała Byrd i westchnęła. - Jednak odczuwam brak... - urwała nagle, a ja, wiedząc, co ma na myśli, czekałam, że powie, za czym tęskni. Powie o tym, czego i mnie brakuje.

Mama się odwróciła, rzucając na Byrd ostre, a zarazem smutne spojrzenie.

Potem wyraz jej twarzy uległ zmianie, gdy podniosła oczy na tatę, który stanął w drzwiach, z twarzą zarumienioną od stepowania.

- O co chodzi? - spytał zdyszany. - Czego ci brak?

- Czegoś - odparła pozornie beztroskim tonem Byrd. - Nie wiem, co to jest, ale czegoś mi brak.

- Wiem - powiedziała mama. - Jestem taka niespokojna. Jutro odpływa ostatni letni prom. I co wtedy zrobimy?

- Odzyskamy wyspę - stwierdził tata. - Wszędzie będzie cicho, spokojnie, wszystko będzie nasze.

- Brak mi urozmaicenia - odezwała się nagle Byrd, a jej twarz rozjaśniło jakieś wspomnienie. - Przydałoby nam się coś nowego, porywającego...

- Może kolacja? - podpowiedział tata.

- Och! - Mama podskoczyła tak gwałtownie, że Byrd niemal zleciała z huśtawki. - Zapiekanka już pewnie gotowa! Trzymaj! - W biegu wetknęła tacie oblepioną resztkami ciasta miskę.

- Co to było? - spytał, próbując odrobinę.

- Deser, moje złotko - odparła Byrd. Wstała bardzo powoli. Na jej ustach zaigrał uśmiech, wzdrygnęła się jednak jak otrząsający piórka strzyżyk i weszła do domu.

10

- Coś porywającego... - powtórzył tata cicho, po czym spojrzał na nas.

-Atrakcji mamy przecież pod dostatkiem... - urwał. - Prawda? - dodał, jakby zapytywał samego siebie.

Kolację zjedliśmy o zachodzie słońca, przy świecach - była to doroczna uroczystość z okazji jutrzejszego wyjazdu turystów.

Pory roku na wyspie miały swoisty rytm, jak przyptywy i odpływy. Jesień

należała do nas. Barwy krajobrazu zmieniały się szybko, liście wirowały w powietrzu, a wreszcie znikwały i mogliśmy ujrzeć wyspę w całej okazałości. Łąd wznosił się, a następnie opadał, począwszy od północy, gdzie stała latarnia morska, i schodził zakosami ku dolinom, które, niby dłonie, ujmowały wodę stawów.

Wkrótce nadchodziła zima. Wiatr łomotał w okna domu, morze było czarne. Mewy, chroniąc się przed wichrem, przesiadywały na naszej werandzie i wyglądały wiosny, która przychodziła tak niespodzianie i była tak chłodna, że ledwie ją zauważaliśmy. No a potem - lato. Turyści znów wysiadali z promu, zalewali nas, powietrze było gęste od ich głosów. I znowu, pod koniec lata, odchodzili jak fale odpływu, pozostawiając po sobie niepo-każne resztki - jakieś dziecinne wiaderko ze złamaną rączką, białą skarpetkę na skraju plaży. Kawalki, szczątki pozostawione niby pożegnanie.

Nagle, gdy jedliśmy kolację, przeraził nas oszalały pisk mewy, która pikowała nad domem. Spojrzeliśmy w górę, a później, niepewnie, po sobie, nerwowo chichocząc. Ale tego dnia nie było się o co martwić. To stało się dopiero nazajutrz, gdy prom zabrał ostatnich letników z wyspy.

Rozdział drugi

Wiatr porwał Lalowi czapkę. Gnana kolejnymi podmuchami, pomknęła po plaży. Lalo rzucił się za nią w pogoń, spod jego stóp tryskał piasek.

Latawiec zawirował i zniżył lot, po czym nagle dał nura w wodę.

Usłyszeliśmy za plecami zbiorowe westchnienie letników stojących na werandzie pensjonatu rodziców Lala. Sterczeli tam niby ptaki przycupnięte na linie; torby mieli popakowane, twarze czerwone, z ich

nosów spieczonych słońcem łuszczyła się skóra. Koniec lata.

-Lalo! - krzyknęła pani Baldelli, a my, w nadziei na napiwki, ruszyliśmy pędem, by nosić bagaże do hotelowej furgonetki.

-Nie zapomnij o moim parasolu, Larkin! - zawołała pani Bloom.

Przyjeżdżała co roku, z żółtym parasolem, leżakiem i kudłatym pieskiem, który zwał się Craig Walter. Wzięłam od pani Bloom parasol, a tkwiący w jej objęciach Craig wyszczerzył na mnie zęby.

Willoughby'owie ściskali kurczowo pęki przywiedłych polnych kwiatów. Ich dzieci taszczyły torby z kamieniami, martwymi skrzypłoczami i jeżami morskimi, które zapewne pokruszą się, nim zostaną dowiezione do domu.

Wskoczyliśmy z Lałem na tył furgonetki, by się przejechać. Mijaliśmy rowerzystów z wyładowanymi koszami, rodziców, którzy prowadzili dzieci za rękę, niemowlaki dźwigane wnosidłach na plecach, psy z nosami przy ziemi, pomykające śladem swych właścicieli. Na nabrzeżu samochody oczekiwały rządkiem na wjazd na prom. Zespół Griffeya rznął „Wytocz baryłkę”, jedyny utwór, jaki potrafił wykonać. Griffeygrał na akordeonie, Rollie na skrzypcach, Arthur na saksofonie, a staruszek

12

Brick wydobywał ze swoich dudów jedynie trzy akordy - molowy, durowy i „coś pośredniego”, jak mówiła mama.

Tata żegnał się z letnikami. Na jego twarzy znać było zarost, zaczątek corocznej zimowej brody, którą golił dopiero w czerwcu, przed powrotem letnich gości. Byrd i mama też już były na przystani; nogi Byrd migotały, a targane wiatrem włosy przypominały sypki śnieg. Mama podała jakiejś kobiecie pakunek i uśmiechnęła się do nas. Była zadowolona, że sprzedała obraz. Dziecko w ogrodniczkach biegło z uniesionymi rękami w stronę

wody, a roześmiany ojciec pochwycił je w objęcia i posadził sobie na ramionach. W pobliżu stała kobieta z niemowlęciem na rękach i przyglądała się nam. Jakieś psy zaczęły się gryźć, lecz właściciele szybko je rozdzielili.

Samochody, wyładowane torbami, śpiworami, chłodziarkami i leżakami przymocowanymi do bagażników, zaczęły wjeżdżać na prom. Za nimi wtaczano rowery.

- Do widzenia! - zawołała pani Bloom, machając do nas jedną z łapek Craiga.

- Do widzenia! - odkrzyknęliśmy.

Gdy z metalicznym szczękiem zatrzasnęły się bramki, zadrżały wielkie liny przy relingu. O dziwo, Griffey, Rollie, Arthur i staruszek Brick zagrali nową melodię.

- A cóż to? - zdziwiła się mama.

- Nauczyli się czegoś nowego! - wykrzyknął Lalo.

- Co to? - spytałam.

- „Łaska niebywała” - odparł tata, uśmiechając się szeroko. „Królowa Wyspy” odbiła od brzegu, a mama zaczęła się śmiać. Byrd zanuciła swym starczym głosem:

Łaska niebywała, cóż to za muzyka, która ocaliła takiego łotrzyka! Kiedyś błądziłem - drogę odszukałem. Byłem ślepy - na oczy przejrzałem.

Gdy prom dotarł do falochronu, zatkaliśmy sobie uszy, bo

13

ryknęła syrena. Niebo było szklście błękitne, a nisko nad ziemią, bezgłośnie jak na obrazach mamy, sunęły chmury.

A potem nagle zrobiło się cicho, na wybrzeżu pozostała tylko garstka

ludzi. Zespół Griffeya pakował instrumenty, ojciec Lala polewał gumowym węzłem furgonetkę stojącą przy samym nabrzeżu, miejscowi rozchodzili się. Jakaś nie znana mi para trzymała się za ręce. Może odlecia wieczornym samolotem. Kobieta z niemowlęciem nadal nam się przyglądała. Chmura przesłoniła słońce. Koniec lata.

- Twoja mama płakała - odezwał się Lalo, gdy wracaliśmy z nad morza przez pola.

- Zawsze płacze, jak kończy się lato - odparłam. -1 w ogóle w różnych okolicznościach. Na ślubach... - spojrzałam na Lala. -1 na paradach.

Lalo wybuchnął śmiechem. Przypomniawszy sobie, jak na czele parady z okazji czwartego lipca maszerowała koza Griffeya i jechała szambiarka, a mama płakała.

Usiedliśmy na kamieniu nad stawem. Po powierzchni wody mknęły nartniki, w miejscu, gdzie wyskoczyła rybka, rozeszły się kręgi. Widoczny jeszcze w oddali prom stawał się powoli małym, zanikającym punktem, za którym snuła się smużka dymu.

-Więc... - powiedział Lalo, który tak właśnie rozpoczynał większość zdań. Panna Minifred, szkolna bibliotekarka, usiłowała go tego oduczyć.

- Skończ z tym, Lalo - zwróciła mu kiedyś uwagę. - Zblamu-jesz się na własnym ślubie, bo gdy pastor zapyta: „czy bierzesz sobie tę kobietę...”, odpowiesz: „więc...”. Przegapisz nawet koniec własnego życia, bo będziesz próbował rzec na pożegnanie jakieś cudowne słowa, a wydusisz tylko to swoje „więc”.

Panna Minifred lubiła „cudowne słowa”. Lubiała początki książek i ich zakończenia. Kochała zdania i wyrażenia przysłów-

ko we, opisy zachodów słońca i śmierci. Lalo mówił o niej: „za górami, za lasami żyła Minifred nad Minifredami”.

- Ty jesteś jak praca na pełnym etacie - powiedziała pewnego dnia, gdyż Lalo zadał jej dwanaście pytań pod rząd.

-Dziękuję, panno Minifred - odparł Lalo, nie chwytając dowcipu.

Ciekawe, co ona zrobi, kiedy Lalo pójdzie do liceum i opuści wyspę?

Może panna Minifred zasuszy się między zapisanymi kartkami, pośród tych wszystkich słów, i będzie ją można odnaleźć tylko przypadkiem, gdy się otworzy jakaś książkę. Albo może sfermentuje w bibliotece jak ten mamy jabłecznik na tylnej werandzie, który w końcu wysadził korek z butli.

- Więc - powtórzył Lalo - jutro kupisz sukienkę w szkocką kratę i zacnie się rok szkolny.

Uśmiechnęłam się. Moja mama miała słabość do szkockiej kratki. Szkocka kratka oznaczała początek. Rok w rok rozpoczynałam naukę w kraciastej sukience, po czym wskakiwałam w dzinsy i bluzy, a gdy było gorąco - w szorty. W mojej szafie wisiało już pięć sukienek w szkocką kratę - niby pamiątki minionych lat.

-Więc - powiedziałam, przedrzeźniając Lala, i wyrwałam kępkę cykorii. - Jutro sprawię sobie kraciastą sukienkę, a twoja mama kupi ci nowe pudełko na drugie śniadanie.

- I nadejdzie kolejny rok szkolny, taki sam jak poprzednie. -Lalo uśmiechnął się, uszczęśliwiony.

Ja też uśmiechnęłam się do niego, choć wiedziałam, że Lalo się myli.

Wszystko bowiem uległo przeobrażeniu z powodu tego, czego mi było brak, a o czym nikt nie wspominał nawet słowem. Nasze życie miało

zmienić się jeszcze bardziej, lecz my dotąd nic o tym nie wiedzieliśmy. Kiedy jednak przecięliśmy łąkę porośniętą cykorią i tawułą, gdy wdrapaliśmy się na wzniesienie, na którym zbudowany był mój dom, kosz stał już na podjeździe, a siedzące w nim dziecko zanosiło się od płaczu. Przerazona mama podniosła ręce do twarzy. Tata stał oszołomiony, z twarzą po-

15

ciemniała, jakby zastygła. Jedyne Byrd wyglądała na szczęśliwą i zadowoloną, jak gdyby zdarzyło się coś cudownego, coś, czego sobie życzyła. Bo tak było. Miała to swoje urozmaicenie.

Czasami przypominała sobie białe, jedwabiste włosy, które muskały jej twarz. Słyszała grzechot białych kamyków. Może to były kamienie z płazy. I płacz. Niemal czuła słony smak łez, smak wspomnień. Dlaczego więc nie pamiętała uczucia lęku?

Rozdział trzeci

Dziecko przyjrzało się naszym twarzom i przestało płakać. Zapadło milczenie. Zastygliśmy w bezruchu, jak aktorzy, którzy zapomnieli swych kwestii. Później Lalo stanął przede mną, a ja patrzyłam ponad jego ramieniem na uśmiechniętą Byrd, posepnego tatę, spiętą i pobladłą mamę. Potem wszyscy wlepiliśmy oczy w dziecko, które niemrawo zaczęło gramolić się z koszyka. Dłonie mamy zatrzepotały jak ptaki, gdy wyciągnęła je w obronnym geście, a Byrd zrobiła krok w stronę kosza. Jednak nim tam dotarła, maluch, który ugrzązł nóżkami w zwojach koca, gruchnął na ścieżkę i zaczął beczeć. Jego smętne popłakiwanie przypominało miauczenie kota, który się zgubił.

Byrd płynnym ruchem schyliła się i porwała dziecko w ramiona, a mama podniosła z ziemi jakąś kartkę. Papier poruszał się lekko w powiewach bryzy. A może to ręka mamy tak drżała? Lalo sięgnął do tyłu, ujął moją dłoń i pociągnął mnie za sobą. Wiedziałam, że stara się mnie ochraniać, lecz przed czym?

Potem wszystko rozegrało się jak na filmie o zwolnionych obrotach. Tata wyjął kartkę z rąk mamy, przeczytał nam, a mama zaczęła płakać.

Szlochała zupełnie bezgłośnie, po prostu łzy spływały jej po policzkach. Wpatrywałam się w nią. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby tak płakała. To było straszne. Niemy płacz.

To jest Sophie. Ma prawie rok i jest grzeczna... - czytał tata łamiącym się głosem.

Sophie... na dźwięk swego imienia mała podniosła głowę i przestała płakać. Tata patrzył na nią przez chwilę. Przełknął ślinę i pociągnął mnie za sobą, a gdy podeszliśmy do nas. Podniosła rączkę i potarła

17

2 — Wyspa nfficzema

Nie mogę teraz zapewnić jej opieki, ale wiem, że z wami będę bezpieczna. Obserwowałam was. Jesteście dobrą rodziną. Stracę Sophie na zawsze, jeśli się nią nie zajmiecie. Proszę, zatrzymajcie ją u siebie. Jak tylko będę mogła, przyślę pieniądze. Kiedyś po nią wrócę. Kocham ją. Lalo wciąż ścisnął mnie za rękę. Tata spojrzął na mamę.

- Zrobiła błąd w wyrazie „proszę” - oznajmił cicho. Lalo wyciągnął rękę do Sophie, wciąż tkwiącej w objęciach

Byrd. Sophie wpatrzyła się w jego dłoń, a potem dotknęła jej rączką. Lalo uśmiechnął się. Sophie mruknęła z zadowolenia, poruszyła rączką w górę i w dół, gapiąc się na Lala, jakby czekała na coś znajomego. Lalo ujął drugą rączkę dziecka i też nią pomachał. I wtedy Sophie po raz pierwszy się uśmiechnęła. Tata odwrócił się do mamy, ten uśmiech chyba dodał mu sił.

- Zadzwoń na policję - powiedział.

Byrd zaczerpnęła gwałtownie powietrza, jakby się zakrztusiła

- Musimy to zgłosić - dodał szybko tata. - Dziecko zostało porzucone. To przestępstwo.

Sophie zipnęła głośno, naśladując Byrd. Mama nie odezwała się ani słowem. Wyciągnęła ręce do Sophie, a mała przyjrzała się jej z powagą i namysłem.

- Sophie? - odezwała się mama miękko i śpiewnie, jakby nuciła kołysankę. Mała wciąż patrzyła na mamę. Włożyła dwa palce do buzi a po chwili je wyjęła.

- Sophie - powtórzyła za mamą cienkim, czystym głosem, który przypominał dzwoneczek. Potem rzuciła się ku mamie, niemal wyskakując z objęć Byrd. Mama przytuliła ją do siebie.

- Lily! - powiedział tata głośno. - Musimy porozmawiać. Wejdźmy do domu, bez dziecka.

- Bez Sophie, John - poprawiła go mama.

- Bez Sophie - wycedził tata.

- Sophie - powtórzyła znów mała swym[^]fzw! kiem.

18

Mama i Byrd uśmiechnęły się do siebie i wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, jakby odkryły jakiś sekret, o którym my nie mieliśmy pojęcia.

- Trzymaj - mama podała Sophie Byrd. - Idę porozmawiać o przestępstwach.

- O rany... - wyszeptał stojący przy mnie Lalo. - O rany!

Na dworze było cicho, ciepło i spokojnie. Chmury nie tłoczyły się już na niebie. Lalo i ja usiedliśmy z Sophie na trawie i zaczęliśmy bawić się z nią w „kosi-kosi łapci”.

- Ona wie, jak to się robi - Lalo uśmiechnął się zaskoczony.

- Wszystkie dzieci umieją - powiedziała Byrd i spojrzała na mnie. - Zawsze ktoś kochający je tego uczy.

Usiadła na schodkach, choć była w sukni i ekstrawaganckich pończochach. Patrzyła na Sophie i udawała, że nie słyszy podniesionych głosów dobiegających z domu.

Tata przemawiał dobitnie, a chwilami ostro, mama zaś tym monotonnym tonem, który przybierała, gdy była poważna albo zła. Nagle głosy zacichły, a my zastygliśmy z uniesionymi głowami. Drzwi otworzyły się i najpierw wyszła mama, a za nią tata. Wyglądał na zmęczonego, jak po wieczornym stepowaniu.

Byrd wstała i wbiła wzrok w mamę. Sophie odwróciła się i wyciągnęła do mamy rękę.

- Zostanie z nami jakiś czas - oznajmiła mama cicho.

- Dopóki nie dojdziemy do porozumienia, co z nią zrobić -dodał stanowczo tata.

Byrd uśmiechnęła się. Tata ze znużeniem opadł na stopień werandy.

- O rany - powiedział Lalo po raz trzeci.

Byrd podniosła "Sophie i zakreśliła się z nią w koło, aż dzieciak wybuchnął śmiechem. Mały samolot przeleciał nad naszymi głowami i zniknął w

oddali. Naszyjnik Byrd pękł, obsypując Sophie perłami, które padały na trawę jak łzy.

»

Rozdział czwarty

Była noc, pierwsza noc Sophie w naszym domu. Smuga księżycowego światła pełzła wolno po mojej kołdrze niby fala przyływu. Nagle rozległ się płacz. Potem usłyszałam pospieszny tupot, odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, cichy, kojący głos mamy. Przewróciłam się na drugi bok i leżałam tak, patrząc w okno. Niebo było usiane gwiazdami, księżyc niemal okrągły, brakowało mu tylko skrawka do pełni. Sophie rozbeczała się na dobre; ponownie usłyszałam trzaskanie drzwiami.

Uniosłam głowę znad poduszki i zaczęłam nasłuchiwać. Odł strony schodów dobiegł mnie inny odgłos. Dźwięk dobrze mi znany. Płacz ustał. Wstałam i otworzyłam drzwi. Hol rozświetlała lampka nocna. Przeszłam po chłodnej drewnianej podłodze, potem ruszyłam schodami w dół i zatrzymałam się tam, z ręką na poręczy. W salonie paliła się lampka. Mama siedziała na podłodze, trzymając Sophie na rękach. Twarzyczka małej była poznaczona śladami łez, na jednym policzku odcisnęła się koronka od poszewki. Sophie wpatrywała się z rozdziawioną buzią w mojego tatę. Tata miał rozczochrane włosy i cienie pod oczami. Był ubrany w piżamę, buty do stepowania i tańczył na marmurowym blacie. Mama śpiewała wraz z nim:

Chłopaki i dziewczyny, ja wraz z Mamie O'Rorke w bajecznym świecie tańczymy 'na chodnikach Nowego Jorku.

Gdy tata skończył tańczyć, mama nagrodziła go oklaskami. Sophie nadal gapiła się na tatę z otwartą buzią. Kiedy zszedł ze stołu, też zaczęła

klaskać.

20

- Jese - powiedziała. - Jese.

- Jeszcze - wyjaśniła mama. Tata westchnął.

- Wiem, co znaczy „jese”, Lily - burknął. Obejrzał się i zauważył, że siedzę na najniższym stopniu schodów.

- Wiem, co znaczy „jese” - powtórzył.

Nagle uśmiechnął się do mnie, a ja do niego. Oboje przypomnieliśmy sobie, ileż to razy tańczył dla mnie, przypomnieliśmy sobie wszystkie nocne piosenki, gdy byłam chora, a także usilne i daremne próby nauczenia mnie stepowania.

Sophie ziewnęła, więc mama wzięła ją na ręce i wstała. Mała złożyła główkę na jej ramieniu.

- Dziękuję - szepnęła mama do taty, minęła mnie i weszła na schody.

Sophie miała już zamknięte oczy. Tata z westchnieniem otworzył drzwi i wyszedł na werandę. Ruszyłam za nim.

Usiadł na schodkach, a ja obok niego.

- Gwiazdy - powiedział.

Skinęłam głową. Zdawałam sobie sprawę, że w ten sposób omijamy temat, którego nie chcieliśmy poruszać.

- Mleczna Droga - powiedziałam i wskazałam ręką niebo. -Plejady...

Tata otoczył mnie ramieniem.

- Czy ktoś zapytał, co t y o tym wszystkim sądzisz?

- Mama nie pyta o takie rzeczy - rzuciłam ostro. - Już nie. Sama byłam zaskoczona, że powiedziałam to z taką złością.

- Nie - przyznał cicho. - Ale ja pytam.

-Nigdy nie miałam... - urwałam. - Nie miałam siostry... -dokończyłam powoli. Spojrzałam na tatę. Wiedziałam, że oboje myślimy o czymś innym. O k i m ś innym.

- Nie o to pytam, Lark - usłyszałam cichy głos taty.

W trawie bzyczały jakieś owady. Znad morza dobiegł odległy krzyk mewy.

- Lubię Sophie - wyznałam. - Nie kocham jej.

- Niech tak pozostanie. Nie kochaj jej. - Tata westchnął. - Ja również ją lubię - oświadczył po krótkim milczeniu.

21

- Mama wkrótce ją pokocha - szepnęłam.

- A może już kocha - dodał tata.

- Boję się - powiedziałam po chwili. - Boję się o mamę. Zapadło milczenie.

- Tak - przyznał. - Ale to nie ty masz ją chronić. Spojrzałam na niego.

- Ty to zrobisz? - spytałam. Znowu nie odzywał się przez chwilę.

- Jeśli mi pozwoli - odparł.

Długo jeszcze siedzieliśmy na werandzie, wpatrując się w chmury, które opadły na księżyc jak sieć. W końcu zrozumiałam, że zabrakło nam słów. Teraz. Wstałam i weszłam do domu, j powlokłam się na górę. Gdy prawie zapadłam w sen, usłyszałam grzechot kostek lodu w szklance. A potem stepowanie, niby teleH graf wystukujący wiadomość. Przez pół nocy wsłuchiwałam się w kroki taty na marmurze, a księżyc zdążył przepłynąć przez niebo i zniknąć.

- Więc? - powiedział Lalo, stając w drzwiach, i wyszczerzył się w swym trochę upiornym porannym uśmiechu. W czasie snu pewnie też się

uśmiechał.

Zmrużyłam oczy w rześystym świetle poranka.

- W kuchni - odparłam.

Lalo wyminął mnie. Stałam, gapiąc się w przestrzeń skąpaną W słońcu.

Zatrzasnęłam z hukiem drzwi.

- Dzień dobry, Lalo! - ryknęłam tak głośno, że aż sama się zdziwiłam.

- Cześć, Larkin - rzucił przez ramię, a potem zniknął w kuchni. - Więc,

Sophie! - usłyszałam. - To Lalo.

Rozległo się pełne zachwyty „La!”.

Weszłam do kuchni i oparłam się o wysoki blat. Promienie I słońca oblały butelki ustawione na oknie. Byrd siedziała w aksa-

fflitnym szlafroku, a siateczka zmarszczek na jej twarzy w słonecznym

świecie przypominała rżnięte szkło. Tata czytał gazetę, popijając sok

pomarańczowy. Sophie tkwiła na moim starym drewnianym krzeselku,

buzię miała wysmarowaną kaszą. Nagle uśmiechnęła się do mnie szeroko.

- La! - zawołała, wyciągając łyżkę w moją stronę.

Nie mogłam się powstrzymać i też się uśmiechnęłam. Jej drobne,

równiutkie zęby wyglądały jak perełki, którymi wysadzana była jedna z

broszek Byrd. I wtedy, jak nagły, ostry ból w piersiach przy szybkim

pływaniu, przyszło olśnienie, że boję się nie tylko o mamę. Bałam się

również o siebie. Wymieniliśmy z tatą spojrzenia. „Nie, Larkin! Nie!” -

ostrzegały jego oczy. Lalo zauważył wyraz twarzy taty i jego uśmiech

znikł.

Odwróciłam się, wyszłam z kuchni, a potem na werandę, gdzie nie czułam

się tak osaczona. Zeszłam po schodkach na trawnik, lecz wciąż słyszałam

wysoki, radosny głosik Sophie. Po chwili byłam już nad stawem,

przebiegłam pola i weszłam na cmentarz położony na wzgórzu. Słyszałam stąd szum wiatru i morza. Leżał tu mały kamień nagrobny, otoczony dużymi nagrobkami z aniołami, kwiatami i imionami. Na małym kamieniu nie było imienia, tylko słowo „dziecko” i daty. Wynikało z nich, że ten, kto był tu pochowany, żył jeden dzień. Poczulałam lekkie szturchnięcie, to Lalo stanął obok.

-Więc, Larkin... - zaczął piskliwie, a jego słowa uleciały z wiatrem.

Potrząsnęłam głową. Tak, chciałam pogadać, ale z Lalem mówiliśmy już o tym wiele razy. Ja chciałam porozmawiać z rodzicami, lecz ani mama', ani tata nie zamierzali mówić. Nie o tym.

Lalo westchnął. Wiatr sfałował nie koszone trawy. A my staliśmy, w milczeniu wpatrując się w głaz, który leżał na grobie mojego braciszka.

22

23

^b<2

Przede wszystkim pamiętała mężczyznę. Jego ręce - silne, opalone. Czula łomot w jego piersi, gdy ją trzymał w objęciach, słyszała melodię, która od niego płynęła, zalewała ją, wywoływała uśmiech. Nawet teraz uśmiechała się na to wspomnienie. Czasami w tłumie słyszała podobny głos, odwracała się, szukała go. Nie szukała jednak jego twarzy.

To ręce zapamiętała.

Rozdział piąty

Kamień, papier, nożyczki. Tata próbował nauczyć Sophie tej gry. Siedzieli na werandzie, Sophie na kolanach taty, który raz po raz wyciągał ręce przed siebie.

- Kamień, papier, widzisz? Papier, Sophie. Nożyczki.

Tata rozumiał, że jest za mała na tę zabawę. Nie mogła przecież wiedzieć, że kamień zakrywa kamień, kamień łamie nożyczki, nożyczki zaś - tną papier. Lecz tata nic sobie z tego nie robił. Zresztą Sophie tak samo. Podobały jej się taty ręce, lubiła patrzeć, jak udają kamień, papier, nożyczki. Tata chował ręce za plecami i gdy je wyjmował, wszystko jedno, w jaki układały się kształt. Sophie była zadowolona, bo podobały jej się po prostu same dłonie.

- Jese - zawołała.

Mama siedziała na werandowej huśtawce.

- Powinniśmy uczyć ją słów - rzekła uśmiechając się. - Ręce, Sophie, ręce.

- Jese - powiedziała Sophie, marszcząc brwi.

Tata roześmiał się na widok tej naburmuszonej minki, a mała zawtórowała mu. Jej śmiech był jak woda rwąca po kamieniach.

- Tata - powiedziała mama. - Powiedz: tata...

Powoli, bardzo powoli ojciec wstał. Posadził Sophie na podłodze.

Odwrócił się do mamy, a Sophie, wyczuwając jego nagły gniew, uniosła twarzyczkę i zaczęła mu się przyglądać.

- Przepraszam! - zaczęła pospiesznie mama. - Nie chciałam, John...

- A właśnie, że chciałaś, Lily. Chciałaś. Ja nie jestem jej tatą. Nie jestem.

Gdzieś... - głos mu zadrżał, więc umilkł na chwilę,

25

by nadać mu więcej mocy - gdzieś tam, daleko, mieszka mężczyzna, który jest jej ojcem. I kiedyś, być może wkrótce, matka Sophie wróci po nią.

Ona nie jest twoja, Lily. Nie jest nasza - urwał, a gdy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał szorstko, był jak zgrzyt kamienia o kamień. - Sophie nie jest żadną namiastką - stwierdził dobitnie.

Mama otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz natychmiast zrezygnowała. Poczułam, że skórę mam zlodowaciałą jak wtedy, gdy na wiosnę po raz pierwszy pływam w zatoce.

- Przepraszam, Liły - odezwał się cicho tata. - Musisz o tym pamiętać.

Odwrócił się, zszedł po schodkach, przeciął trawnik i ruszył ścieżką prowadzącą do miasteczka. Sophie wyciągnęła do niego rękę, lecz tego nie zauważył, bo był odwrócony do niej plecami. Mama wstała i poszła za ojcem.

Byrd westchnęła.

- No i dobrze. Nareszcie jesteśmy sami, Sophie - stwierdziła, siląc się na wesołość. Spojrzała najpierw na Lala, potem na mnie, a jej oczy zaszkliły się nagle od łez.

- To nie będzie łatwe - powiedziała. - To bardzo ważne dla Sophie, a zwłaszcza dla twoich rodziców. Ale łatwe nie będzie. Rozumiesz?

Rozumiałam aż za dobrze. Wiedziałam, że chodzi jej o to, o czym mówił tata. Sophie nie była nasza. Pewnego dnia odejdzie. Znów nam kogoś zabraknie.

- Czemu to takie ważne? - spytałam, przede wszystkim ze względu na Lala, który żarliwie tulił Sophie, jakby próbował zatrzymać ją na zawsze.

- Dlatego, że ofiarujemy Sophie coś, co zabierze, odchodząc od nas.

- Co? - spytał Lalo. - Co takiego zabierze?

Sophie spojrzała na Lala i przyłożyła paluszki do jego ust, by czuć, jak się poruszają.

- Nas - powiedziała Byrd z mocą.

26

- A co nam pozostanie po jej odejściu? - spytałam. Byrd potrząsnęła głową,

bo nie była w stanie mówić. Słońce wychynęło nagle zza chmury. Sophie podniosła ku

niemu ręce. I wówczas Lalo spytał o to, czego nikt dotąd nie śmiał powiedzieć na głos:

- A co będzie, jeśli jej mama nigdy nie wróci?

Byrd przyglądała mu się przez chwilę, a potem przeniosła wzrok na morze, jakby dostrzegła tam jakiś znak. Szepnęła coś w odpowiedzi.

- Co? - zapytał Lalo, nachylając się ku niej.

- Ona wróci, Lalo - odparła z przekonaniem Byrd. - Wróci.

Rodzice przyszli późno. Przez całe popołudnie ja i Lalo usiłowaliśmy uczyć Sophie różnych słów. Do widzenia. Lar-kin. Lalo. Ręce. Byrd i Lalo nakrywali teraz do kolacji. Siedziałam na werandzie, z Sophie śpiącą w moich ramionach, gdy ujrzałam rodziców na ścieżce prowadzącej z miasteczka. Szli powoli, wśród traw. Tata na przedzie. Sophie westchnęła przez sen. Przygarnełam ją mocniej, wciąż przyglądając się rodzicom.

Mama miała twarz zaciętą, tata smutną.

Sophie przebudziła się bez płaczu i usiadła. Potem odwróciła się i zauważyła rodziców. Wyciągnęła ręce do taty.

- Ręce - powiedziała. Dźwięk był klarowny jak jesienne niebo.

1

Rozdział szósty

Obecności Sophie w naszym domu nie sposób było utrzymać w sekrecie. Próbowaliśmy wymyślić jakąś historyjkę.

- Może siostrzenica? - zastanawiał się tata. - Odnaleziona po latach siostrzenica.

- Kuzynka - zaproponowała mama. - Dziecko kuzynki pozostawione na zimę.

- To tak, jakby hibernowała - stwierdził tata.

-A może księżniczka, pretendująca do korony, zrzuconaj przez kogoś z balonu? - rzuciła sarkastycznym tonem Byrd.

Przestaliśmy więc kombinować - wyjawiliśmy prawdę. I taki Sophie została wyspiarskim dzieckiem. Wszyscy ją kochali,! podkarmiali, pilnowali w razie potrzeby, czytali jej, śpiewali, wozili w wózku.

Poszliśmy z nią do doktora Fortunato, którego z powodu wyjątkowo gadatliwej żony Byrd przezywała Unfortunato. Sophie od razu go rozśmieszyła, bo dmuchnęła w stetoskop. Doktor przeczytał kartkę pozostawioną przez matkę Sophie, oddał mamie liścik i przyjrzał jej się uważnie.

- Jak sobie z tym radzisz? - spytał delikatnie.

- Dobrze - odparła mama. - Dobrze - powtórzyła nieco głośniej.

Doktor Fortunato rzucił okiem na tatę, a potem na Sophie.

- Mała jest zdrowa - oznajmił. - Chodzi już?

- Sama jeszcze nie potrafi - powiedziała mama.

- Przytrzymuje się mebli - dodałam.

28

- Tańczy na mojej stopie, trzymając mnie za nogę - dorzucił tata.

- Dajcie mi znać, jak nauczy się stepować - uśmiechnął się doktor Fortunato.

Sophie lubiła marchewkę, lecz nie znosiła mleka. Buraki służyły jej do płucia. Nie cierpiała kąpieli i darła się wtedy tak głośno, że musieliśmy zamykać okna, by nie słyszano jej wrzasków. Uwielbiała natomiast kucać

nad brzegiem zatoki i przelewać wodę z wiaderka do wiaderka, tak długo, aż zaczynała marszczyć jej się skóra na palcach. Po południu razem z Byrd odbywała drzemkę. Byrd śpiewała jej wszystkie znane sobie piosenki, kołysanki, szlagiery, hymny i ludowe przyśpiewki. Kiedyś nawet ciągnęła radośnie szantę o pijanym żeglarzu, lecz tata przywołał ją do porządku, stukając w okno.

Rozpoczął się rok szkolny, a ja nie miałam nowej sukienki w szkocką kratkę.

- W co się ubrać? - spytałam mamę. Mama zobaczyła moją minę.
- Ojej, Lark, przecież nie cierpiałaś tych kraciastych sukienek.
- Tak - przyznałam. - Nadal ich nie znoszę. - Uśmiechnęłam się do mamy, lecz pomyślałam ze zdziwieniem, że mimo wszystko znowu chciałabym dostać taką sukienkę.

Sophie rozplakała się, widząc, że chcę wyjść. Siedziała wpiżamce, usta ułożyły jej się w podkówkę, wyciągnęła do mnie ręce.

- La! - zawołała żałośnie. - La! - ucieszyła się na widok Lala, który wstąpił po mnie.

- Mogę nie iść do szkoły - zaofiarowałam się.
- Nie ma mowy - stwierdziła stanowczo mama. - Naucz się, że wracasz.

Biblioteka była świeżo odmalowana, a woń farby mieszała się

29

z zapachem starych książek. Półki odkurzono, a książki tkwiły zachęcająco w równiutkich rzędach. Panna Minifred, schludniutka i czyściutka, czekała na nas.

- Dzień dobry. Siedź prosto, Lalo - upomniała. - Takie poJ kładanie się może zatrzymać dopływ krwi do mózgu.

Lalo uśmiechnął się szeroko. W kasetce miał nowe śniadaniowe pudełko, czarne i połyskliwe jak włosy panny Minifred. Lalo uważał, że ten rok szkolny będzie taki sam jak wszystkie minione.

- Pomówimy teraz o potędze słów - oznajmiła panna Minifred. - O tym, że słowa potrafią nas zmieniać.

Wbiłam w nią wzrok. „A co zrobić, gdy nie ma słów? -pomyślałam. - Milczenie też może odmienić człowieka, panno Minifred”.

Spojrzała na mnie, zdawać się mogło, że czyta w moich myślach.

- Słowa... - powiedziała.

Potem popatrzyła w okno, jakby jakieś słowa dobiegły ją właśnie z oddali. Pokazała ręką półki.

-W tych książkach drzemie siła stu nawałnic. Cudowne słowa.

Wymieniliśmy z Lałem porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechy.

Kolejny rok...

Mama miała rację. Gdy po południu wchodziliśmy z Lałem i na schodki werandy, zobaczyliśmy, że Sophie, z buzią przyciśniętą do szyby, czeka na nasz powrót.

W drugim tygodniu roku szkolnego Sophie zrobiła swój pierwszy samodzielny krok, odepchnąwszy się od stolika do stepowania. Tata klaskał, Byrd się śmiała, a mama płakała. Od tej pory Sophie zaczęła chodzić. Czasami pędziła pochylona, jakby popychał ją wiatr, czasem posuwała się chwiejnym krokiem, a my wyciągaliśmy ręce, aby ją podtrzymać.

Po błotnistych drogach wyspy Sophie jeździła na siodełku przyczepionym do bagażnika roweru mamy, pokazując palcem okoliczne psy i koty.

Nauczyła się machać ręką - zaciskała paluszki i machała sama do siebie.

Zrozumiała, co oznacza słowo „gorące”, gdy dotknęła drzwiczek piecyka, i pojęła, że „nie” znaczy „nie wolno”, kiedy zbliżyła się do mokrego obrazu mamy.

Nagle, niespodzianie, pewnego dnia zaczęła chować ręce za plecy i wyjmować je ułożone w pięści, rozpostarte płasko albo rozwarte jak nożyce.

- Kamień, papier, nożyczki - powiedział miękko tata. - Sophie nauczyła się. Nie wie, co to znaczy, ale umie...

Mama uśmiechnęła się.

- Tak to jest z dziećmi - stwierdziła Byrd i zamilkła na chwilę. - To, wszystko będzie jej się kiedyś przypominać w ten czy inny sposób...

Popatrzyliśmy na Byrd, a potem na Sophie. Mama odwróciła się od okna, uśmiech znikł z jej twarzy.

Myśleliśmy teraz o matce Sophie. Tata spoglądał na mamę. Mieliśmy wrażenie, że tym jednym zdaniem Byrd przeniosła Sophie tam, gdzie nie mogliśmy za nią podążać...

Sophie stanęła niepewnie na nogach i zerknęła na tatę. Uniosła jedną nogę i postawiła ją na podłodze, potem powtórzyła to jeszcze raz.

Mama uśmiechnęła się.

- Szura nogą - szepnęła. - Chce, żebyś tańczył - powiedziała łamiącym się głosem.

Zapadło milczenie. Potem tata schylił się, wziął Sophie na ręce. Zaczął powoli tańczyć, a Sophie wyszczerzyła ząbki w uśmiechu. Tata nie uśmiechnął się do niej. Patrzył na mamę i śpiewał:

Ja i mój cień

po mieście się włączymy.

30

31

Ja i mój cień

wygadać się przed kim nie mamy.

A kiedy wybija dwunasta,

po schodach się cicho wspinamy.

Nie warto pukać do drzwi -

bo w domu nie ma nikogo.

Tata długo tańczył z Sophie, a snop promieni słonecznych padał na nich niby światło reflektora. Mama stała przy oknie i patrzyła. Byrd siedziała, prosta jak drzewo. Nikt oprócz Lala się nie uśmiechał.

- Chodź, Larkin! - zawołał tata. - Zatańcz z nami. Pokręciłam głową.

- Nie mogę - powiedziałam.

Nazajutrz, jakby za sprawą słów Byrd, nadszedł list do Sophie. Gdy mama odczytywała go na głos, zza kartki wysunęło się pięć jednodolarowych banknotów.

Moja Sophie!

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Kocham cię. Myślę o tobie w każdej minucie, godzinie, każdego dnia. Nie zapomnij mnie. Całuję -
mama.

^a

Kochała wiatr, kochała też muzykę. We wspomnieniach ziewały się w jedno - świst wiatru w trawach i melodia, która przychodziła w snach, lecz znikwała po przebudzeniu.

Rozdział siódmy

Zima nadeszła szybko i przyniosła niespodziewany śnieg w wigilię święta

Dziękczynienia. Kupiliśmy Sophie ciepły kombinezon, czerwone śniegowce i rękawiczki z jednym palcem, choć wiedzieliśmy, że śnieg na wyspie nigdy nie leży długo. Sophie nie spodobały się rękawiczki, kombinezon ani śnieg. Bardzo polubiła natomiast czerwone kaloszki, szurała w nich po domu, a wieczorem zabrała je do łóżka.

Do świątecznej kolacji zasiedliśmy w jadalni. Kieliszki lśniły w blasku świec, Sophie paradowała w swych czerwonych butach. Doktor Fortunato wpadł na chwilę, gdy jechał do żony Rol-iego, która miała gorączkę, lecz tak naprawdę przyszedł zobaczyć Sophie. Na kolacji był także Griffey i grał dla Sophie na akordeonie. Polubiła „Wytocz baryłkę”, a „Łaska niesłychana” wprawiła ją w zachwyt.

- Jese - domagała się. - Jese.

- Naucz się wreszcie jakichś nowych piosenek - powiedziała Byrd.

- Pracuję nad tym - odparł urażony Griffey. - Ale w branży kanalizacyjnej jest huk roboty. - I zaczął raz jeszcze grać „Łaskę niesłychaną”.

/

- Ona uwielbia tę piosenkę - oświadczył z dumą. - I to jak! Byrd skinęła głową.

- Dzieciak ma niezły gust - stwierdziła.

Potem wybraliśmy się do miasteczka. Ludzie wychodzili z domów, by się z nami przywitać, pomachać do Sophie, albo z ganków wykrzykiwali świąteczne życzenia. Światło osiadło na wodzie niby porcelanowa glazura, morze było spokojne, niebo posiniało.

Tego wieczora tata tańczył dla małej na dobranoc. W kółko do piosenki „Ja i mój cień”. Lalo nauczył Sophie przesyłać całusa w powietrzu. Mama wyjęła szkicownik i zaczęła ją rysować. Lampa rozlewała plamę światła

na rozpostartą kartkę. Patrzyłam ponad ramieniem mamy, jak miękkimi łukami kreśli najpierw sylwetkę Sophie, a potem bardziej kanciastą, większą postać ojca, który trzyma małą na rękach.

- Jak myślisz, czy ona pamięta? - spytałam niespodziewanie. Mama podniosła wzrok znad kartki. Jej oczy błyszczały.

- Czy pamięta...?

- No... swoją matkę... - dokończyłam. - Jak myślisz, czy tęskni za nią? Mama wpatrywała się we mnie bez słowa.

- Nie wiem - powiedziała po chwili. - Ale to bez znaczenia, Larkin. Robimy to, co właściwe. - Opadła na oparcie fotela. - Wiesz o tym, prawda?

Właściwe. Nic nie odpowiedziałam, lecz nagle poczułam, że twarz pali mnie z gniewu. Rozdzierały nas słowa, których nigdy nie wypowiedziałyśmy, słowa mówiące o tym, co w moim przekonaniu jest właściwe. Trudno mi było wyrazić, co myślę, nie wyrzuciwszy ich z siebie. Mama popatrzyła na mnie tak, jakby wiedziała, o co chodzi, wyprostowała się raptownie i powróciła do rysowania. Rozmowa była skończona - zamknął ją temat, który nas dzielił. Patrzyłam na szkic i zżymałam się na widok ręki mamy, pływającymi ruchami zmiatającej te wszystkie słowa, które pragnęłam usłyszeć.

Tata i Sophie siedzieli teraz w fotelu przy kominku. Sophie naśladowała tatę - kamień, papier, nożyczki - jej rączki, jak dłonie mamy, przypominały szybkie cienie, które niby motyle fruwały w blasku kominka.

- Nie dali mu żadnego imienia - powiedziałam. Staliśmy na ulubionym miejscu Lala - północnym urwisku Wznoszącym się wysoko ponad wodą. Lalo lubił wyrzuszenia

34

35

terenu i niebezpieczne krańce wyspy, które mnie napawały lękiem. On niczego się nie boi.

Lalo patrzył na mnie przez chwilę poprzez kosmyki włosów, które wiatr zwiewał mu na twarz. Potem odwrócił się, cisnął ka mię przed siebie i wychylił się, by zobaczyć, jak kamień znikł z miejsca, w którym staliśmy, widać było tylko nikły rozbryzg na powierzchni wody. Zadrżałam i jedną ręką naciągnęłam czapkę na uszy, drugą chwyciłam za pasek Lala.

Lalo wyprostował się i uśmiechnął. Ten dzień należał do jego ulubionych - był wietrzny, zimny, a on miał na sobie jedynie bluzę.

- Nie spadnę, Larkin. Nigdy nie spadam, więc przestań się o mnie bać. Pamiętasz, jak raz spałem na drzewie?

O tak, pamiętałam. To było wtedy, gdy mama zaprowadził; Lala do nowego fryzjera, który ostrzygł go za krótko. Lalo ukrywał się przed wszystkimi i dlatego spędził cały dzień i noc na drzewie, które rośnie nad stawem. Wreszcie jego mamie udało się zwabić go na dół - kapuśniakiem i ciastem.

- Jeszcze nie spadłeś - powiedziałam. Spojrzałam na wodę, szarą i ciemną, upstrzoną białymi bałwanami. - Jednak zdarzają się rzeczy, które by ci nigdy nie przyszły do głowy.

Ruszyliśmy ścieżką nad urwiskiem, prowadzącą do miasteczka.

- Więc... - zaczął Lalo. Jego oddech zastygł w obłok. - Minęło dopiero sześć miesięcy od... - zerknął na mnie z ukosa, nim dokończył - od jego śmierci. Moja mama mówi, że to wymaga czasu. Że każdy przeżywa to inaczej.

Nie odezwałam się. Lalo podniósł kolejny kamień i zamachnął się, by go rzucić.

- Dlaczego nie dali mu imienia? - spytałam. Lalo zamarł, a potem cisnął kamień do wody.

- Więc - odezwał się, a włosy targane wiatrem stanęły mu dę ba - sama go nazwij.

Zatrzymałam się.

36

__ Co? - spytałam.

- Ty tak zawsze - zniecierpliwił się Lalo. - Zawsze mówisz Co?", kiedy nie wiesz, co powiedzieć. Albo nie chcesz dać odpowiedzi. Chodzi o to, że jeśli odczuwasz potrzebę nadania mu imienia, to po prostu zrób to.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Potem Lalo odwrócił się i zaczął iść przed siebie. Patrzyłam, jak mija kępy przejrzałej cykorii, jałowce.

- Głupi jesteś! - wrzasnęłam za nim. - Jesteś okropnie głupi, straszny dureń!

Nagle niebo pociemniało, bo chmura przesłoniła słońce. Wyglądało to jak na filmie - kiedy ma nastąpić poważna scena, a widz ma się skupić. Lalo zniknął za wzgórzem, a ja przestałam wrzeszczeć. Po chwili pojawił się znowu i wlepił we mnie oczy.

Ruszyłam za nim. Kiedy go dogoniłam, siedział pod skarło-waciałym dębem przycupniętym na skraju urwiska.

Stanęłam obok Lala i spojrzałam w dół, na miasteczko. Dostrzegłam samochód jadący po Main Street, iglicę kościelną na rynku, kuter zawijający do portu.

- To nie miałyby wielkiego znaczenia... - urwałam - nie byłoby aż tak

ważne, gdyby nie...

Lalo podniósł na mnie wzrok.

- Gdyby nie Sophie - dokończył.

Nie potrafiłam powstrzymać łez, które nagle zaczęły spływać mi po policzkach - zimne, przerażające. Lalo siedział bez ruchu. Nie podszedł, by mnie objąć albo położyć mi rękę na ramieniu. Po prostu patrzył w dal ponad wodą. A ja płakałam, myśląc o tym, co tata powiedział mi nie tak dawno: „Nie kochaj jej”.

Nie martw się, tato. Nie potrafię kochać Sophie. Nie potrafię, ho nie umiem kochać mego brata.

Płakałam.

Lalo siedział pod drzewem, nie patrząc na mnie. Słońce wyłoniło się zza chmur.

Rozdział ósmy

- „Czego życzę naszemu światu?” - rozpoczęła wypowiedź dźwięcznym głosem Portia Pinter, stojąc pod tablicą.

Ktoś parsknął. Panna Minifred rzuciła piorunujące spojrzenie w tył, pewnie na Ozziego. Ozzie zawsze parskał. Miał czterech braci, którzy robili to samo. Lalo twierdził, że to ich rodzinna tradycja.

- „Czego życzę naszemu światu?” - powtórzyła Portia, poprawiając okulary na nosie. - Żeby na świecie był pokój i schroniska dla bezdomnych zwierząt, zwłaszcza kotów.

Kolejne parsknięcie. Panna Minifred uśmiechnęła się.

Portia, niska dziewczynka w okularach zdobionych błyskotkami, powiedziała nam kiedyś, że jest skoligacona z angielską rodziną królewską. Lalo przezywał ją „księżniczka Portia”.

Portia monotonnym głosem ciągnęła swą wypowiedź. Siedzieliśmy w bibliotece, na której ścianach porobiły się zacieki. Padało już od trzech dni. Deszcz był tak ulewny, że mama musiała uszczelnić okna ręcznikami. Kładła je nawet pod drzwi, bo i tamtędy wdzierała się woda. Tata wychodził do pracy wcześniej rano, a wracał dopiero wieczorem. Odziany w żółty sztormiak, brnął do miasteczka, a wiatr niemal przygwaźdżał go do wzgórza. Byrd śpiewała Sophie piosenki, czytała jej książeczki, a mała radośnie wskazywała coraz to nowe strumienie wody wpływające do domu.

W szkole wspólnymi siłami przenieśliśmy książki na środek biblioteki, a Rebel, szkolna „złota rączka”, wyłączył elektryczność. Rebel przybył na wyspę na swym Harleyu-Dawidsonie, mając osiemnaście lat, i już tu pozostał. Od tamtej pory minęło piętnaście lat. Widzieliśmy zdjęcia z dawnych czasów; Rebel

38

wcale się nie zmienił. Nadal był chudy, miał rozwichrzoną czuprynę, a na przedramieniu tajemniczy tatuaż - „Dzika Eunice”.

Rebel lubił pannę Minifred. Czytywali razem książki Kiedyś późnym popołudniem przyszliśmy z Lałem do biblioteki i zastał ich razem przy biurku. Rebel siedział na uczniowskim krześle, wsparłszy brodę na rękach, i z uśmiechem czytał coś pannie Minifred.

Rebel miał w suterenie półki pełne książek. Lalo widział je gdy zszedł na dół pożyczyć śrubokręt.

- Sama poezja - powiedział z podziwem.

- To dlatego, że Rebel cierpi - wyjaśniła Portia. - Wszyscy ludzie żyjący w udreće czytają poezję. On stracił ukochaną, no wiecie, tę Eunice. Panna

Minifred leczy go mocą cudownych słów.

Ozzie znów parsknął.

- „Ukochanych” to on ma na pęczki - zadrwił. - Widywałem go w miasteczku na Harleyu z różnymi dziewczynami.

- To tylko przelotne znajomości - stwierdziła Portia. Brylanciki z jej okularów rzucały niepokojące błyski w mroczniejącym pokoju. - W oczekiwaniu na powrót Eunice.

Dziś Rebel stanął na końcu klasy, ze skrzynką z narzędziami przy nodze, i słuchał wypowiedzi Portii. Skrzyżował ręce na piersiach, mogliśmy więc podziwiać Dziką Eunice w całej okazałości - czerwone litery oplecione z wielką zajadłością przez zielony bluszcz.

Rebel nie miał zwyczaju zostawać na lekcjach. Jak już zrobił, co miał do zrobienia, znikał w suterenie. Nagle przypomniał mi się dzień, gdy koza Griffeya przesadziła ogrodzenie, przemaszerowała przez całe miasto i weszła do klasy - zadziwiając nas swym widokiem i zakłócając utarty tok lekcji. Tak też Rebel w swoich skórzanych ciuchach, z rozwichrzoną czupryną i zbyt duży, nie pasował do klasowego wnętrza.

Rebel zauważył, że mu się przyglądam. Poruszając bezgłos-

39

nie ustami, zapytał: „Jak Sophie?”. „Dobrze - odpowiedziałam tym samym sposobem. - Chodzi”. Rebel rozpromienił się w uśmiechu.

- No, a poza tym byłoby zupełnie doskonale mieć czyste powietrze, czystą wodę i czyste domy. Podsumowując - Portia urwała, by zaczerpnąć tchu - najważniejsza jest, oczywiście, pobożność, lecz zaraz po niej - czystość. - Omiotła wzrokiem całą klasę. - Moja mama tak mówi - dodała.

Z tyłu klasy dobiegło głośne parsknięcie.

- Dziękuję, Portio - powiedziała panna Minifred.

- Zbytek słów - stwierdził Rebel.

Wszyscy zwrócili ku niemu głowy, gdyż Rebel nigdy się nie odzywał w klasie.

- Tak, bez wątpienia - przyznała panna Minifred. - Nie mówi się „zupełnie doskonale”, Portio. „Doskonały” to wystarczające określenie.

- Jasne - rzucił Rebel, wziął skrzynkę z narzędziami, po czym zatrzymał się przy drzwiach, by spojrzeć na pannę Minifred. - Nie może być lepiej, skoro jest doskonale - dodał.

Gdy wyszedł, zapadła „pulsująca cisza”, jak mówiła panna Minifred.

- Jasne - odezwała się wreszcie, a jej twarz oblał rumieniec. - Rebel ujął prawdę w cudowne słowa. Nie może być lepiej, skoro jest doskonale.

Spojrzeliliśmy na siebie z Łalem porozumiewawczo, słysząc to „jasne”. W klasie było już tak wilgotno, że włosy zaczęły zwijać mi się w kędziorki.

Domyśliliśmy się, że pomiędzy panną Minifred a Rebelem było coś więcej niż słowa. Lalo pochylił się ku mnie i wyszeptał:

- Więc. Myślisz, że ktoś prócz nas zauważył? Zaprzeczyłam ruchem głowy. Reszta klasy szeleściła kartkami.

- Panna Minifred będzie biedna, jeśli Dzika Eunice kiedyś się zjawi - mruknełam.

40

Lalo uśmiechnął się do mnie szeroko, a potem do panny Minifred.

- Myślę, że ona potrafi zatroszczyć się o siebie - powiedział cicho.

I wówczas panna Minifred uniosła głowę znad biurka i uśmiechnęła się do nas serdecznie.

- Jutro poezja - oznajmiła i uśmiechnęła się jeszcze promiennie. - W

poezji zawiera się cały świat. Wszystko, co pragniemy ujrzeć, usłyszeć.

Chwile dobre i złe, wesołe i smutne.

Lalo znów nachylił się do mnie.

- Rebel wróci - wyszeptał.

Cały świat.

Do domu szliśmy przez miasteczko, popychani przez wiatr, z nogami mokrymi pomimo kaloszy. Zatoka była czarna, szare grzywy wieńczyły fale. Gdy mijaliśmy budynek gazety, zajrzałam przez okno i zobaczyłam, że tata czyta przy biurku. Drewniany blat lśnił w blasku lampy. Minęliśmy sklep z artykułami żelaznymi, drogerię i DELIKATESY, na których neon zubożał o literę Y.

Obciągnęłam na sobie sztormiak i przytrzymałam przeciwdeszczowy kapelusz, by wiatr mi go nie zwał.

Wszystko, co pragniemy ujrzeć, usłyszeć.

Lalo szturchnął mnie w ramię.

-Co?

- Dom - powiedział.

Podniosłam głowę i zobaczyłam pensjonat. Mokrą werandę smagał wiatr.

Lalo pociągnął mnie za sobą po schodkach. Zdjęliśmy kapelusze i słuchaliśmy bębnienia deszczu o dach.

- Więc? - spytał Lalo.

- Myślę o poezji — wyznałam.

- Wiem - stwierdził Lalo rzeczowym tonem.

- I o tym, co powiedziała panna Minifred.

41

Lalo skinął głową.

- Myślę o...

- O świecie - dokończył Lalo.

- Poezja to tylko słowa - oświadczyłam.

- To wszystko, co mamy - odparł Lalo. Spojrzałam na niego. Deszcz przybrał na sile.

Potem zostawiłam Lala na werandzie i pognałam, w wietrze i deszczu, do swego domu. Gdy otworzyłam drzwi, zobaczyłam mamę i Sophie przy stole kuchennym. Sophie była uwalana farbą, odbijała czerwone ślady paluszków na mokrym papierze. Mama miała na twarzy czerwone cętki, które zaschły i sprawiały wrażenie, że zostaną tam już na zawsze.

Obydwie uśmiechnęły się do mnie, a Sophie wyciągnęła rączki, by mnie dotknąć.

„Panna Minifred się myli. Na to nie ma słów” - pomyślałam, wieszając ociekający wodą sztormiak w holu, i wróciłam do kuchni.

Zapamiętała kolor czerwony - czerwone kwiaty, które zakwitły zimą, mroźne czerwone zachody słońca, a zwłaszcza małą czerwoną łąkę, która w świetle jarzyła się jak ogień. Teraz nosiła ją na szyi, ale pamiętała, jaka była w dotyku, gdy ścisnęła ją w ręce. Czasami rozwierała palce, oczekując, że ujrzy ją tam, połyskującą w zagłębieniu dłoni.

Czerwony zawsze sprawiał jej radość.

Rozdział dziewiąty

W nocy obudziło mnie gradobicie. Wydawało mi się, że ktoś ciska kamieniami w dach i okna. Gdy usnęłam ponownie, miałam sen, że jest tak zimno, że aż na przedramionach zrobiła mi się gęsia skórka, a oddech zastygał w lodowy obłoczek. Oglądałam pola pokryte lodem, zamarznięte i najeżone lśniącymi jak szkło falami morze. W oddali widziałam Sophie,

która w swoich czerwonych kaloszach opuszczała wyspę.

- Ej, mała! - zawołałam, ale nie zareagowała. Szła przez zatokę, omijając kutry uwięzione w lodzie.

- Wracaj, mała! - krzyknęłam.

Potem we śnie zjawiała się Byrd i stanęła obok mnie.

- Zawołaj ją po imieniu - powiedziała ze smutkiem. - Zawołaj na nią Sophie.

Łzy na policzkach Byrd wyglądały jak diamenty. Patrzyłam na nią przez cłiwilę, a kiedy się odwróciłam, było za późno. Sophie minęła falochron i zniknęła.

- La - poczułam, że ktoś pakuje mi palce do oczu. - La! Obudziłam się w mrocznym pokoju, sen umknął. Sophie wdrapywała się na moje łóżko w wełnianych śpiochach. Jej czerwone śniegowce leżały koło poduszki.

- La - zimne paluszki dotknęły moich zalanych łzami policzków.

Usiadłam na łóżku. W pokoju panował chłód, choć zza brzegów zasłon sączyło się już poranne słońce. Pochyliłam się, by odsunąć storę.

Wewnętrzną stronę szyb pokrywała gruba warstewka lodu. Na zewnątrz też wszystko było skute lodem - linia telefoniczna, drogi, a nawet drzewa uginające się pod jego ciężarem. Pola zastygły w martwocie i lśniły jak w moim śnie.

43

Wciągnęłam Sophie pod kołdrę i otuliłam szczelnie.

- Sophie! - zawołała mama z korytarza.

- Sophie! - pisnęła mała, naśladowując ją.

- Ach, więc tu jesteś - powiedziała mama stając w drzwiach. - Nie ma

prądu, Larkin. Tata rozparała w kominku. Lepiej zostańcie w łóżku, aż nagrzejemy trochę w salonie.

Mama podeszła i przyjrzała się nam z bliska. Za nią zjawiała się Byrd, odziana w aksamitny szlafrok, grube skarpety i kapelusz, i z kolczykami w uszach. Uśmiechnęłam się.

- Ani słowa o moim wyglądzie - ostrzegła Byrd.

- Brrr - zaczęła ją Sophie, wyciągając rękę.

- Powiedziała Byrd! - Mama uśmiechnęła się. - Sophie zaczyna mówić, nareszcie!

- Lily! Rozpalone! - zawołał z dołu tata. Mama wyszła z pokoju, otulając się szczelniej swetrem. Byrd usiadła na łóżku i ujęła rączkę Sophie.

- Ręka - wyjaśniła Sophie.

- Nie będzie dziś lekcji - stwierdziła Byrd.

- Nie będzie poezji - westchnęłam. Po chwili zwróciłam się do Byrd. - Co wiesz o poezji? - spytałam.

Uśmiechnęła się i zadrżała z zimna. Odchyliłam kołdrę, a ona wślizgnęła się do łóżka. Sophie, która leżała teraz pomiędzy nami, zaczęła bawić się rubinem wiszącym na złotym łańcuszku na szyi Byrd.

- Poezja to skakanie życiu do gardła - zacytowała Byrd. - Robert Frost tak powiedział.

- Panna Minifred mówi, że poezja ukazuje nam świat. Byrd zamyśliła się.

- Panna Minifred ceni słowa ponad wszystko - stwierdziła.

- Jak myślisz, czy one zawierają odpowiedzi? - spytałam. Byrd zdjęła wisiołek i podała go Sophie.

- La! - pisnęła radośnie Sophie. Przyglądała się rubinowi z bliska, powoli obracała go w paluszkach.

- No, jak myślisz? - powtórzyłam. - Czy w słowach może tkwić odpowiedź?

44

- Zależy od pytań - odparła Byrd. - Jednak - odwróciła się, by spojrzeć na mnie ponad głową Sophie - musisz wiedzieć, że nie zawsze da się odpowiedzieć, choćby nie wiem jak pięknych użyć słów.

Patrzyłam na nią.

- Czasami poezja, słowa pozwalają nam wejrzeć w siebie - wyjaśniła. - I bywa, że to wystarcza. Czasami - dodała cicho.

- Miałam sen - powiedziałam po chwili. - Byłaś w nim.

- Dobry sen?

- Nie - odpowiedziałam. - Sophie odchodziła w dal po zamarznętym morzu i ani razu się nie obejrzała.

Byrd przyglądała się, jak Sophie to zaciska palce wokół rubinu, to znów je rozwiera.

- Tak właśnie będzie, Larkin - zauważyła z westchnieniem.

- W tym śnie wołałam na Sophie „mała”. Ty poradziłaś mi, żeby zawołać ją po imieniu.

- Mała - powiedziała Sophie, przykładając mi rączkę do ust.

- Mała - powtórzyłam, uśmiechając się do niej.

Potem leżałyśmy sobie w milczeniu, aż wzeszło słońce i zalało nas swym blaskiem. Za oknem iskrzyła się wyspa.

- Dlaczego rodzice nie dali mu imienia?

- Pytałaś ich? - Byrd wcale nie była zaskoczona moim pytaniem.

Pokręciłam głową.

- To jeszcze zbyt świeże, za wcześnie, by o tym mówić - powiedziała

Byrd. - Teraz oni próbują ze wszystkich sił chronić się wzajemnie. -
Odwróciła głowę, by spojrzeć na mnie. - Pewnie się zastanawiasz, kto
wobec tego ma chronić ciebie?

Nie odezwałam się. Sophie wypełzła spod kołdry.

- Nawet go nie widziałam, Byrd - szepnęłam. - Ani razu. Poza tym on nie
ma imienia.

- Tak - odparła cicho Byrd. - Ale z tym sama będziesz musiała sobie
poradzić. Twój sen jest jak wiersz. Obleka w słowa my-

45

śli, których nie potrafisz wypowiedzieć. Może po to właśnie są wiersze. I
panna Minifred o tym wie.

Przez chwilę patrzyłam w okno, a potem zwróciłam się do Byrd.

- Byrd?

- Co, kochanie?

- Panna Minifred już nie ceni słów ponad wszystko.

- Naprawdę?

- Panna Minifred i Rebel są w sobie zakochani. Ona powiedziała wczoraj
„jasne”, zupełnie jak Rebel.

Byrd aż uniosła głowę znad poduszki.

- Powiedziała „jasne”?

- Jasne - przyznałam.

Byrd wybuchnęła śmiechem, a ja jej zawtórowałam. Sophie przyglądała
się nam bacznie, przysiadłszy na piętach, i uśmiechała się.

- Mała... - zachichotałam. - Cześć, mała.

Z dołu doleciał nas zapach kawy i pieczonych grzanek. Nie ruszyliśmy się
jednak spod kołdry, po której wędrowała smuga słońca. Patrzyliśmy na

Sophie, ona zaś bezustannie otwierała i zamykała dłoń, w której leżał rabin.

Rozdział dziesiąty

Sześć dni mrozu.

Sześć dni bez prądu.

Nie chodziliśmy do szkoły, bo dach przeciekał.

I wówczas, niespodziewanie, ku zaskoczeniu wszystkich, Sophie zaczęła mówić pełnymi zdaniami.

Całymi dniami przesiadywaliśmy przy kominku. Kiedy pewnego razu jedliśmy grzanki pieczone nad ogniem i zupę z kociołka, Sophie nagle wstała i oświadczyła:

- Zupa jest do kitu.

Lalo był zachwycony. Tego dnia przyszedł okutany jak mumia. Miał na sobie wełnianą czapę, rękawiczki, buciory z wełnianym ocieplaczem i długachny szal, którym - zdaniem Byrd - można by zakryć fortepian jego mamy.

- Lalo, za kogo się dziś przebrałeś? - roześmiała się mama, gdy otworzyła mu drzwi.

- Moja mama uważa, że zarazki „nie przenikają przez wełnę” - wyjaśnił Lalo, szybko wchodząc do środka.

Rodzice wymienili uśmiechy. Matka Lala, Marvella, prowadziła czterdziestodwupokojowy pensjonat i świetnie sobie z tym radziła. Była piękna, wysoka i miała długie, czarne włosy. Przybyła na wyspę przed piętnastoma laty i natychmiast zakochała się w tacie Lala, który wówczas był rybakiem. Marvella namówiła go na kupno pensjonatu.

- Nie chcę, żebyś łowił ryby - powiedziała. - Boję się wody. Mdli mnie na

sam jej widok.

- Przecież to jest wyspa, otoczona zewsząd wodą! - odparł tata Lala.

Moim zdaniem to było wspaniałe i odważne ze strony Mar-

47

velli, że z miłości do taty Lala żyła w miejscu, które budziło w niej lęk.

Nazywała się też znakomicie - Marvella Baldel-li. Przyrządzała potrawy o równie egzotycznych nazwach - pro-vencale, scallopini albo francese.

Jednak Marvella miała „wypaczone pojęcie”, jak mówił Lalo, o elektryczności.

- Nie stawaj w pobliżu gniazdek elektrycznych, kwiatuszku -mówiła, gdy przychodziłam z wizytą. Natychmiast odciągała mnie na środek

pomieszczenia, jakby prąd czał się w gniazdkach, czekając na dogodną chwilę, by mnie porazić. Marvella zawsze nazywała mnie kwiatuszkiem.

Lalo zrzucił odzienie w holu i od razu poszedł zobaczyć się z Sophie.

- Jak się miewa Marvella? - spytała mama, idąc za nim do salonu.

- Jest spokojna. Przecież prąd wysiadł - odparł Lalo.

Tatę bardzo to rozbawiło. Lalo uśmiechnął się na widok Sophie.

- Więc cześć, Sophie.

- Więc, Lalo. Chcę ciepłej kaszy - powiedziała Sophie radośnie i dobitnie.

- Więc jak to się stało? - spytał mamę zdziwiony Lalo. Mama wzruszyła ramionami.

- Dzieci zaczynają mówić w różnym wieku i każde inaczej -wyjaśniła. -

Larkin zaczęła wcześniej, lecz nie wymawiała „t”.

- Nazywała mnie „dada”.

- Nie cierpiełeś tego - przypomniała mama z uśmiechem. -Byłeś urażony.

- Pomyślcie tylko - powiedział Lalo. - Te wszystkie słowa w niej tkwiły,

było w niej wszystko, co od nas usłyszała. Ona ma w sobie całe zdania, które w niej siedzą i czekają, kiedy będą mogły wyskoczyć.

48

- Jak prąd twojej mamy - odezwałam się, a tata się uśmiechnął.

Spojrzeliśmy na Sophie, jakby była książką, która ma się zaraz otworzyć.

A może książką, która ma zostać napisana?

- Więc możemy ją zapoznać z różnymi rzeczami - stwierdził Lalo i zamilkł. - Na przykład z poezją.

- Słowa, tylko słowa - skrzywiłam się.

- Poezja? - spytał tata. - Tylko słowa? - Zwrócił się do mamy. - Niechaj, miła, wyliczę miłości mej oblicza...

Mama szybko podniosła na niego oczy, uśmiechnęła się, a jej twarz niespodzianie się zmieniła. Może przez chwilę była taka jak dawniej.

- Na łapach kocich sunie mgła - wyrecytowała Byrd.

- Na łapach kocich - powtórzyła Sophie. Wypowiadała słowa z namaszczeniem, jak panna Minifred, gdy zwracała się do Oz-ziego.

Wybuchnęliśmy śmiechem.

Sophie spodobał się i nasz śmiech, i brzmienie słów.

- Na łapach kocich - powtórzyła raz jeszcze.

Znów roześmieliśmy się, a tata objął mamę. Sophie pociągnęła tatę za wolną rękę. Rodzice wstali, mama podniosła Sophie. Rubin Byrd, zawieszony na szyi małej, pobłyskiwał na błękicie śpiochów. Cała trójka zaczęła tańczyć. Patrzyliśmy, jak Sophie obejmuje rodziców, kładąc pulchne rączki na ich szyjach. Tańczyli w wyziębionym pokoju, bez muzyki, choć zdawało się nam, że słyszeć muzykę.

- To mi się podoba - powiedział Lalo. Byrd odpowiedziała mu uśmiechem.

Mnie też się podobało. Twarz mamy była łagodna, rozluźniona, taka jak dawniej. Tata obejmował mamę. Chciałam, żeby to trwało wiecznie - rodzice wirujący wolno w tańcu, znów uśmiechnięci, dzięki Sophie.

Lalo przysunął się bliżej do mnie i do Byrd.

- Może jednak Sophie zostanie - szepnął.

4 — Wyspa milczenia

49

Nie mogłam wykrztusić nawet słowa. Byrd ujęła mnie za rękę. Sophie pomachała do mnie, a ja do niej. Nagle poczułam dławienie w gardle na myśl o przestrodze taty, żebym nie pokochała Sophie. Za późno, tato, za późno. Spojrzałam szybko na Byrd i zobaczyłam, że jej oczy pociemniały i zabłyśły zarazem. Zrozumiałam, że już za późno dla nas wszystkich.

Wówczas zamigotały lampy, po czym zapaliły się na dobre. Wstrzymałam oddech w obawie, że przestaną tańczyć. Ale tylko Sophie zauważyła zmianę. Wskazała lampę w rogu i, jakby także nie chciała, by ta chwila przeminęła, wyszeptała:

- Tam jest światło.

Pamiętała głosy. I słowa szeptane do ucha. Muskały jak wietrzyk. Słowa.

Rozdział jeden as ty

Lody stajały, drogi stały się przejezdne i wszystko wróciło do dawnego stanu. Było tak, jakby wtedy wieczorem rodzice wcale się nie obejmowali, jakby tata nie mówił do mamy wierszem, jak gdyby mama nie czuła się przez chwilę szczęśliwa.

Tata znów był milczący, zatopił się w pracy, a wieczorami tańczył dla Sophie na marmurowym blacie. Mama zaczęła malować w pracowni w godzinach popołudniowych, kiedy Sophie spała. Nie wiedziałam, co

właściwie maluje. Pod koniec dnia nie chodziła upaprana farbą, nie nosiła śladów swej pracy, a gdy tata spytał raz, jak jej idzie, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Lepiej. Ciężko, ale lepiej.

Byrd zaszyła się w swej komnacie za mahoniowymi drzwiami, zostawiając szparkę dla Sophie, i dla mnie oczywiście. Sophie paradowała tam w aksamitnym toczku Byrd z diamentową klamerką, w słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie, przystrojonym długą czerwoną wstążką, albo w koronkach i koralach. I zawsze nosiła rubin. Czytały razem z Byrd książeczki, Sophie paplała, przewracała i wskazywała palcem kolejne strony. Głos Byrd był miękki jak aksamit jej toczka.

Jak wiele zależy

od

czerwonych

taczek

z glazurą deszczu

który spływa po nich

obok białych

kurcząt*

*William Carlos Williams „Czerwone taczki”. Przełożył Leszek Elektrowicz.

51

- To William Carlos Williams - poinformowała Byrd małą.

- Ona przecież tego nie rozumie - powiedziałam.

- Wcale nie musi rozumieć, kochanie - zapewniła Byrd. -Podoba jej się samo brzmienie słów.

Sophie siedziała w łóżku, na szyi miała koraliki z agatu, na głowie czarny aksamitny toczek. Spojrzała na Byrd, po czym wskazała stronę w książce.

- Czytaj - odezwała się. - Proszę. Byrd uśmiechnęła się do mnie.

- Już nie taka z niej mała, dorasta - stwierdziła.

- Nie mała - powtórzyła Sophie.

Z tyłu dobiegł mnie jakiś szmer, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że mama stoi w drzwiach i przygląda mi się bez słowa.

- Nie mała - zagadała Sophie do mamy.

Mama przez chwilę patrzyła na nią, jakby studiowała jej twarz. Potem odwróciła się i odeszła.

Sophie rozwarła dłoń i pokazała Byrd spoczywający tam rubin. Byrd westchnęła.

- Sophie powinna dostać ten rubin - powiedziała. - Zgadzasz się, Larkin?

Kiedyś, gdy mnie tu już nie będzie.

Kiedyś. Z trudem przełknęłam ślinę.

- Larkin?

- Tak - odpowiedziałam.

- To dobrze - stwierdziła Byrd, sadowiąc się wygodnie w fotelu. Minę miała zadowoloną, jakby załatwiła pomyślnie jakąś sprawę. Ja tak się nie czułam. Nie chciałam myśleć o „kiedyś”. Być może kiedyś Sophie stąd odejdzie. Może nie będzie tu już Byrd.

Patrzyłam na Sophie, która oparła się o Byrd i słuchała wiersza. Gdy Byrd zaczęła czytać, mała utkwiała we mnie wzrok.

Któż widział wiatr?

Pewnie nikt z was.

A przecież, gdy drzewa chylą głowy -

przechodzi obok nas...

52

- Wiatr - szepnęła Sophie. Wyciągnęła ręce i pokazała, jak się gra w kamień, papier, nożyczki.

Byrd uśmiechnęła się, po czym zaczęła naśladować Sophie, poruszając pomarszczoną dłońią o długich palcach. Na jednym z nich miała szeroką, różowozłotą obrączkę.

Kamień, papier, nożyczki.

Po powrocie do szkoły zauważyliśmy, że Rebel naprawił dach, a Portia ma nowy, błyszczący aparacik na zębach. Panna Minifred umalowała sobie usta czerwoną szminką i założyła wielkie, złote kolczyki w kształcie półksiężyców.

Kiedy weszliśmy do biblioteki, Lalo aż rozdziawił buzię na jej widok.

- Myślałem, że ona jest stara - wyszeptał. - Co się dzieje?

- Miłość - odparłam. - Ona jest stara. Po prostu nie wygląda staro.

- Nie - przyznał Lalo. - Wygląda cudownie. Rzeczywiście, wyglądała.

- Nastaw się, że zaraz usłyszysz cudowne słowa - szepnęłam.

- Dzień dobry - powitała nas z uśmiechem panna Minifred. - Usiądź, Lalo.

Pamiętaj o swoim krwiobiegu. Dzisiaj poezja -oznajmiła.

Słowa. Tylko słowa.

- Nie zamierzam wyklądać wam, czym jest poezja, ani mówić, jak się pisze wiersze - oświadczyła panna Minifred. - A nawet - dlaczego sieje pisze. To możecie sobie znaleźć w podręcznikach. W zamian opowiem wam coś o sobie.

Portia uśmiechnęła się do Lala i do mnie, a jej okulary i klamerki nazębne rozbłysły. Ozzie wcale nie prychnął. Siedział prosto, zaciekawiony.

- Gdy zakończę opowieść, pójdziecie do domu - dodała panna Minifred.

53

Rebel wyłonił się zza regałów, po czym, skrzyżowawszy ręce na piersi, stanął przed panną Minifred oparty o ścianę.

- Kiedy byłam dwunastoletnią dziewczynką, umarł mój starszy brat William - zaczęła mówić panna Minifred. - Kochałam go. Był dla mnie dobry. Czytywał mi opowiadania i wiersze. Chciał zostać pisarzem. Pewnego razu powiedział mi, że słowa przynoszą pocieszenie. Powiedział, że w słowach tkwi moc. Zupełnie nie mogłam pogodzić się z jego śmiercią.

Panna Minifred umilkła na chwilę, a ja poczułam, że przechodzą mnie dreszcze. Wszyscy zastygli w bezruchu. Nikt się nie odzywał, nawet nie szepnął słowa. Rebel nie spuszczał oczu z panny Minifred.

- Był pogrzeb. Kwiaty. Przyszło wielu ludzi, padło wiele słów. Ale te słowa mi nie pomogły. Nie posiadały mocy. Byłam zła. Zła na brata, że mnie opuścił - panna Minifred spojrzała na swoje dłonie. - Nadal jestem zła - dodała cicho. - Kiedyś, przeglądając książki Williama, znalazłam pewien wiersz. Mój brat go zaznaczył, wiedziałam więc, że był dla niego ważny. Ten wiersz przyniósł mi nieoczekiwaną, wielką pociechę. Nie dlatego, że poprawił mi nastrój. Dlatego, że wyraził moje uczucia.

Panna Minifred otworzyła książkę, starą książkę o wymiętych karkach.

- Wiersz napisała Edna St. Vincent Millay. Być może go nie zrozumiecie. Nic nie szkodzi. Ja go rozumiem. I William go rozumiał.

W klasie było cicho jak makiem zasiał. Przypomniało mi się, jak Byrd powiedziała, że Sophie wcale nie musi rozumieć słów.

- Jest zatytułowany „Pieśń żałobna bez muzyki”. Panna Minifred zaczęła

czytać:

Nie godzę się, że serca ukochanych zamyka
twarda ziemia.

Tak to już jest i tak będzie, bo tak było
nieodmiennie:

Odchodzą w ciemność, mądrzy i piękni.

54

W koronach

z lilii i wawrzynu odchodzą. Lecz ja się z tym nie godzę.

Kochankowie, mędrzy - do ziemi wraz z tobą,
zjednoczyć się z szarym, niewybrednym prochem.

Strzep uczuć, okruch wiedzy,
jakiś przepis, zdanie - zostaje. Lecz co najlepsze -
stracone.

Cięte riposty, jasne spojrzenie, śmiech,
miłość...

Przepadły. Karmią róże. Elegancko zwinięte pączki.

Jak pachną te pączki! Wiem. Lecz się z tym nie godzę.

Cenniejsze było światło w twych oczach
niż wszystkie róże świata.

W dół, w dół, w dół, w ciemność grobu.

W pokorze odchodzą - piękni, czuli, dobrzy.

Odchodzą cicho bystrzy, dowcipni, odważni.

Wiem. Lecz się z tym nie godzę. Pogodzić się nie chcę.

W klasie panowała niesamowita cisza. Panna Minifred z namaszczaniem
odłożyła książkę na stół. Patrzyła na nas bez słowa. Siedzieliśmy

nieruchomo, wpatrzeni w nią.

Po chwili Rebel wysunął się do przodu i stanął przed panną Minifred, tak jak Lalo stawał czasami przede mną.

- Koniec lekcji - powiedział cicho. - Idźcie do domu.

Rozdział dwunasty

Cicho zamknęłam za sobą drzwi wejściowe i oparłam się o nie, z trudem łapiąc oddech. Drzwi do pokoju Byrd były uchylone. Przechodząc zobaczyłam, że Byrd śpi obok skulonej Sophie. W głowie wciąż dźwięczał mi głos Lala. Wołał do mnie, gdy wstałam z miejsca, minęłam pannę Minifred, Rebelę i wyszłam z biblioteki. Wykrzykiwał moje imię, kiedy oddalałam się szybkim krokiem, a potem zaczęłam biec.

W domu panowała cisza, wiedziałam, że mama jest w pracowni.

Pomaszerowałam do wypełnionego rzędami książek gabinetu/ojca i zamknęłam za sobą drzwi. Od razu to znalazłam, „Poezje zebrane” Edny St. Vincent Millay.

Widać było, że ktoś je często przeglądał. Stronice były wielokrotnie wertowane. Poczulałam nagły przypływ gniewu, a także lęku. Gniew napłynął z brzucha i uwiązał w gardle, niby krzyk, który zaraz ma się wyrwać. Jak on mógł czytać to - i nic mi nie powiedzieć! Przez te wszystkie miesiące milczenia. Kiedy tyle razy rozmawialiśmy o gwiazdach, planetach i Sophie. Jak mógł?

Usiadłam w fotelu przy jego biurku i odnalazłam wiersz.

Nie godzę się, że serca ukochanych zamyka twarda ziemia.

Położyłam rękę na stronicy, zakrywając słowa. Przez całą drogę do domu myślałam, że moje wzruszenie wywołała biblioteka, panna Minifred, bo wyglądała tak pięknie i smutno, gdy czytała, a przede wszystkim Rebel,

który wystąpił naprzód, by ją chronić. Wcale nie. To ten wiersz.

Odchodzą w ciemność mądrzy i piękni.

56

Położyłam książkę na biurku, grzbietem do góry. Potem bardzo wolno podniosłam ją znowu, opuściłam gabinet i weszłam do pracowni mamy.

Bez pukania. Gdy otworzyłam drzwi, zdawało mi się, że widzę mamę we śnie - odwróciła się powoli od płótna, otwierając usta, by zadać mi pytanie, a jej oczy były bardzo niebieskie.

- Larkin! Co się stało?

Otworzyłam książkę na stronie z wierszem i podałam jej, a gniew wreszcie wylał się ze mnie.

- Nawet go nie widziałam! - krzyknęłam. - I nie daliście mu imienia! -
Zaczęłam płakać. Wyszlochałam: - Nigdy ze mną o nim nie rozmawialiście!

Po policzkach płynęły mi łzy, mama wzięła mnie w ramiona, książka upadła na podłogę.

- Larkin, Larkin... - powtarzała. - Nie wiedziałam.

- Powinnaś wiedzieć - wyjąkałam, mój głos był stłumiony, gdyż usta miałam wtulone w jej ramię. - Jesteś moją matką.

Przez chwilę nic nie mówiła.

- Nie byłam dla ciebie dobrą matką - powiedziała z żalem. Odchyliłam się i spojrzałam na nią.

- Nie, ale byłaś dobrą matką dla Sophie - odparłam.

I wtedy mama zaczęła tak płakać, że aż się wystraszyłam. Jakby nigdy dotąd nie płakała i musiała wypłakać to wszystko, co się w niej nagromadziło. Łzy spływały z jej policzków na moje włosy. Stałyśmy tak

bardzo długo blisko siebie. Nagle przestała płakać, cofnęła się, ocierając oczy wierzchem dłoni. Wtedy zobaczyłam sztalugi. Stał na nich nieukończony portret w bieli. Światło otaczało maleńką twarzyczkę o drobnych usteczkach i wyrazistych, ciemnych oczach.

Długo wpatrywałam się w ten obraz.

- Taki właśnie był - powiedziała mama.

Kiwnęłam głową. Znów przez długą chwilę patrzyłam na płótno. Potem spojrzałam na mamę.

- Możemy go nazwać William? - spytałam. Mama nie odpowiedziała.

Rozdział trzynasty

Siedziałam z Sophie przy oknie, w przestronnej kuchni rodziców Lala, a ona dotykała poinsecji stojącej na stole.

- To jest czerwone - powiedziałam.

- To jest czerwone - powtórzyła.

Tata Lala ustawiał choinkę w holu. Zza zamkniętych drzwi kuchennych dobiegły nas głośne przekleństwa. Lalo uśmiechnął się szeroko.

- Wesołych Świąt! - zażartował.

Sophie zaciekawiona uniosła główkę i wskazała na drzwi, a Marvella pospiesznie oparła się o nie, jakby chciała powstrzymać dolatujące stamtąd słowa.

- Chyba nie słyszała, co? - spytała z przejęciem. - On zawsze tak klnie, jak ustawia choinkę.

- To nasza tradycja rodzinna - dodał Lalo.

- Pan zły - powiedziała Sophie krzywiąc się.

- Ojej! - jęknęła Marvella. - Jesteś głodna, Sophie? Marvella miała nadzieję, że Sophie zainteresuje się jedzeniem. Zza drzwi dobiegły kolejne

wrzaski.

- Grzanki! - zaproponowała głośno Marvella. - Może chcecie grzanek, kwiatuszki?

Lalo wstał i włożył kromkę do opiekacza.

- Lalo, przecież wkłada się po obu stronach - upomniała go Marvella.

Lalo uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

- Mama myśli, że jak nie włożysz grzanek z obu stron do tosterka, to wycieknie z niego prąd - wyjaśnił mi.

- Wycieknie - przytaknęła Marvella.

58

Drzwi otworzyły się i wszedł ojciec Lala z moim tatą. Sophie spojrzała na nich z uśmiechem.

- A niech to szlag - powiedziała.

Wracałam do domu razem z tatą, Sophie szła między nami. Miała na sobie kurtkę i czerwone śniegowce, przenosiliśmy ją za ręce ponad kałużami i krawężnikami. Słońce skryło się za chmurą, a jego promienie padające ukośnie na wodę i łodzie sprawiały, że wszystko wyglądało jak skąpane w srebrze. Nad nami krążyły mewy, bez trudu, chyżo poruszając skrzydłami. W oddali pojawił się prom. Sophie odwróciła się i zaczęła iść tyłem.

- Jesteś szurnięta, Sophie - oświadczył tata, uśmiechając się do niej.

- Szurnięta Sophie - powiedziała. Tata wybuchnął śmiechem.

- Szurnięta Sophie - powtórzył. - To niemal wiersz.

- Tak - powiedziałam.

- Słowa... - zaczął tata cicho. - Czy wiesz, że słowa żyją? Przenoszą się w powietrzu z prędkością dźwięku i przeżywają swe małe życie, zanim znikną. Jak te kółka, które wywołuje kamień rzucony na środek stawu.

Uśmiechnęłam się na myśl o tym.

- Kiedyś krzywiłaś się na słowa - przypomniał.

- Dopóki panna Minifred...

- Ona brodzi w pięknie, o tak, panna Minifred w pięknie brodzi -
wyrecytował tata. - To wiersz.

- Wiem - odrzekłam. - Znalazłam go w którejś z twoich książek.

Tata przyglądał mi się przez chwilę. Przenieśliśmy Sophie nad psem
drzemiącym na chodniku.

- Recytowałem to twojej mamie, zanim za mnie wyszła - powiedział. -
Pisałem dla niej wiersze, czytałem poezję przez telefon. Pewnego razu,
gdy stałem pod jej oknem, wyrzaskując sonet Szekspira, wylała na mnie
szklankę wody.

59

Czułam bicie swego serca. Wszystko zdawało się takie ciche, nawet
drepcząca pomiędzy nami Sophie. Słyszać było jedynie samotne
pokrzykiwania mew. Pomyślałam o tacie, kiedy był młody i za pomocą
słów starał się nakłonić mamę, by go pokochała.

- Dobrze by było, gdybyś nadal to robił - poprosiłam.

Tata obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, potem westchnął, a Sophie
słyszając to zadarła głowę do góry.

- Dorosłaś, Larkin - powiedział tak cicho, że niemal umknęły mi jego
słowa. -A ja prawie tego nie zauważyłem.

Patrzył przed siebie, w oczach miał smutek.

- I to wcale nie za moimi plecami, Lark - znowu westchnął. -Na moich
oczach. Lecz i tak to przegapiłem - szepnął.

Poczułam łzy w kącikach oczu.

- Byłeś zajęty - wydusiłam z siebie. Sophie spojrziała na tatę, a potem na mnie.

- Zajęty - szepnęła.

Tata stanął i puścił rękę Sophie. Objął mnie i podniósł w górę.

Wiele czasu minęło od chwili, gdy trzymał mnie w ten sposób.

Przycisnęłam nogi do jego boków i wtuliłam głowę w jego szyję. Zapach, który pamiętałam z czasów, gdy byłam mała, przywołał łzy. Nad nami krzyczały ptaki, a Sophie wyciągnęła rączkę i złapała mnie za stopę. Ale nie odezwała się.

Tata ścisnął mnie w ramionach, aż zawyła syrena promu wpływającego za falochron. Wówczas schylił się i pochwycił Sophie. Sophie śmiała się do nas, prom wpłynął do portu.

- Kocham cię, Lark - powiedział tata. - Kocham cię.

- Kocham - powtórzyła Sophie, dotykając ust taty.

W ramionach taty myślałam o słowie kocham. O tym słowie, które ma własne życie i szybuje nad miastem, nad wodą, leci w świat, krąży nad nami wszystkimi jak ptaki.

Kocham.

^*G

We wszystkich jej snach były chmury. Podobały jej się ich nazwy: cirrus, cumulus i jeszcze jakaś, która uleciała z pamięci. Nie pamiętała, by kiedykolwiek uczyła się nazw chmur.

Czasami myślała, że zna je od urodzenia.

Rozdział czternasty

- Są trzy godne zapamiętania rzeczy dotyczące wiosny na wyspie - powiadał staruszek Brick. - Po pierwsze, przychodzi po zimie. Po drugie,

przychodzi po zimie. Po trzecie, przychodzi po zimie, a ty myślisz, że to wciąż zima. Zimy na wyspie były zawsze długie. Obdarzały nas śnieżycami, podczas gdy tęskniliśmy za cichymi zaspami śniegu, i deszczami, choć chcieliśmy słońca. Potem nadchodziła wiosna, nie wnosząc żadnej zmiany, tyle tylko, że było więcej deszczu, a my bardziej marzliśmy.

- Chłód przenika do szpiku kości - mawiała Byrd, gdy nadciągała zima.

Wydobywała z komody ciepłą czarną bieliznę obszytą koronką i własnoręcznie przyozdobioną świecidełkami i nosiła ją od października aż do czerwca.

Mama kochała wiosnę. Tata lubił ją, bo na wyspie nie było jeszcze turystów. Mamę upajały przede wszystkim barwy.

-Jakie niezwykle, spójrzcie! Różowy i ta cudowna, ciepła szarość. Fiolet i fiołkowy róż! - zawołała.

Lalo uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- Twoja mama nie jest wiarygodna - powiedział. - Więc przypomnij sobie waszą choinkę.

Tata roześmiał się. Gdy Sophie pomagała ubierać choinkę, z zapalem napakowała mnóstwo strzępów waty na jedną stronę drzewka. Mama nie pozwoliła tego zmienić.

- Sophie także ma Boże Narodzenie - oświadczyła stanowczo.

Lalo uważał, że to najbrzydsza choinka, jaką widział.

- Jest wyjątkowo niegustowna - stwierdził z podziwem.

62

- Mamy tu do czynienia z pewnym zbytkiem - dodałam, przypominając sobie określenie Rebeli.

Przez całe święta drzewko stało przechylone na jedną stronę, aż wreszcie runęło jak kłoda w Nowy Rok, gasząc lampki i rozpryskując bombki. Świąteczny list i paczuszka dla Sophie przyszły z dwutygodniowym opóźnieniem, gdyż sztormowa pogoda zatrzymała prom w porcie, a samoloty na ziemi. Tata odczytał nam list:

Najdroższa Sophie,

Myślę o tobie i tęsknię. Jest lepiej. Ucałowania — mama.

Jest lepiej. W żadnym z dotychczasowych listów matki Sophie nie było nic na ten temat. Pisała co miesiąc, czasem dwukrotnie w ciągu miesiąca, zawsze to samo: kocham cię, tęsknię. W żadnym liście nie pisała, że jest lepiej.

Byrd wstała i podeszła do okna, po czym odsunęła zasłonę, by wyjrzeć.

- Dobrze było spędzić święta z Sophie - powiedziała niepewnie, jakby głos dobiegał z oddali.

Mama odpakowała zawiniątko, była w nim laleczka w czerwonej sukience. Podała ją Sophie. Mała zaczęła obracać zabawkę w rękach. Po chwili urwała lalce nogę.

- Noga lalki - stwierdziła.

Uśmiechnęła się, a potem oderwała drugą nogę.

Mama schyliła się i objęła Sophie.

Tata spojrzął i wyszedł do swego gabinetu. I tak zima prześlizgnęła się w wiosnę wraz ze słowami - jest lepiej - które wciąż nam towarzyszyły, podążały za nami jak chmury.

Kiedy do mamy docierało, że to już naprawdę wiosna, nakłaniała nas do pójścia na plażę. Każdej wiosny, przed przybyciem turystów, zabierała sztalugi i farby, kosze z jedzeniem i udawaliśmy, że jest ciepło.

- Jest kwiecień, kochany - powiedziała wesoło do taty. -Chodźmy!

63

- O tej porze roku twoja mama jest hoża jak rzadko - gderał tata, wciskając na głowę czapkę z nausznikami.

- No, ja pozostaję - oświadczyła Byrd. - Posiedzę sobie przy kominku.

- Sophie idzie... - rzuciła przebiegle mama.

- Chwył poniżej pasa - skomentowała Byrd.

Potem wstała, wciągnęła boty z wełnianym ocieplaczem, wełnianą czapkę i wyszliśmy wszyscy razem. Tata niósł Sophie na ramionach, mama dźwigała pudełko z farbami. Maszerowaliśmy przez miasto.

- Cześć, pomyleńcy! - zawołał Griffey ze swej szambiarki. -Witaj, Sophie!

- Witaj, Sophie! - wrzasnęła mała.

Marvella pomachała nam z okna pensjonatu, skąd śledziła naszą procesję, a Lalo wyskoczył na ganek.

- Jest wiosna? - krzyknął podniecony. - Zaczekajcie na mnie! Zniknął, a za chwilę zjawił się w nowym czerwonym szaliku

wydzierganym przez Marvellę. Szalik, kilkakrotnie omotany wokół szyi Lala, jako kolejna wełniana zaporą przeciwko zarazkom, włókł się za swym właścicielem po ziemi. Lalo zauważył, że tata się śmieje.

- Moja mama w czasie zimy wpadła w ferwor robienia na drutach - wyjaśnił, jeszcze raz okręcając szal wokół szyi. - Zupełny ferwor - dodał, łypiąc na mnie. - Wiem, że występuje tu pewien zbytek. Moja mama lubi to, co zbyteczne.

- Wyglądasz świetnie, kochany - stwierdziła Byrd. - Niby jakiś kawalerzysta.

Ujęła Lala pod ramię i ruszyliśmy w drogę.

- Poza tym ten szal może nas wszystkich uchronić przed zamrożeniem -
dodała cicho.

Po chwili minął nas staruszek Brick w swej antycznej, przechylonej na jeden bok ciężarówce. Potem usłyszeliśmy motocykl. To Rebel mknął główną ulicą. Za plecami Rebelą siedziała panna Minifred, a jej włosy wymykały się spod kasku w bia-

64

ło-czerwone paseczki i falowały na wietrze. Pomachali nam, a my zrobiliśmy to samo.

- Cześć, Eunice! - zawołała mama. Lalo i ja raptownie stanęliśmy w miejscu.

- Eunice? - spytałam. - To panna Minifred ma na imię Eunice?

Lalo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ona mknie w pięknie, Eunice Minifred w pięknie mknie - wyrecytował tata, obejmując mamę ramieniem, podczas gdy panna Minifred i Rebel z rykiem silnika pędzili ulicą.

- Jasne - roześmiał się Lalo.

- Jasne - powiedziałam.

- Jasne - powtórzyła Sophie.

Woda była niebieskozielona, a niebo czyste, tylko gdzieś tam toczyły się chmury, które przypominały waciane pakuły Sophie na choince.

Znaleźliśmy zaciszne miejsce za wydumą, gdzie nie hulał wiatr zmiatający piasek na plaży. Byrd usiadła, opierając się o wyrzucony przez morze pień drzewa, a Lalo przycupnął tuż przy niej. Szal spowijał ich niby czerwony wąż.

- Zbyt wietrznie na malowanie - orzekła mama, wydając szkicownik.

Tata oddalił się nieco od nas i patrzył w dal ponad wodą. Piaskowce ścigały się z falami, zawsze wyprzedzając je o krok, i podrzucały głowy, łykając zdobycz. Na skałach siedziały fioletowe brodzie, pamiątka po zimie. Siewki o czarnych brzuskach sfruwały na plażę, przysiadały tam na chwilę i odlatywały ponownie.

Tata odwrócił się z uśmiechem i wyciągnął rękę do Sophie. Podbiegła do niego, wiatr zerwał jej z głowy czapkę. Tata podniósł czapkę i wziął Sophie za rękę. Ruszyli wolno plażą, widoczne przed nimi obłoki były wielkie jak góry.

- Wyglądają, jakby wchodzili w obraz - powiedziałam.

5 — Wyspa milczenia

65

Byrd i mama odwróciły się jednocześnie i patrzyły na tatę, który nachylił się ku Sophie, wskazując na niebo. Sophie położyła rękę na jego ramieniu i podniosła głowę do góry. W oddali, tuż nad wodą, leciały rządkiem kormorany. Za nimi widać było sunący wolno ku nam prom. Tata usiadł, wziął Sophie na kolana i długo coś do niej mówił. Potem oboje spojrzeli w niebo. Tymczasem wiatr ucichł, a słońce wychynęło zza wielkiej chmury i nastąpiła ta niespodziewana cisza, jaka zdarza się, gdy fale przestają bić o brzeg.

- O rany... - wyszeptała Byrd.

Obserwowałam mamę zapatrzoną w tatę i Sophie. Wyglądała, jakby była na wpół szczęśliwa, na wpół smutna.

- Wiosna - szepnęła do Byrd.

Panna Minifred powiedziała kiedyś, że życie składa się z kręgów.

- Życie nie jest linią prostą - oznajmiła. - I czasami zataczamy kółko w

przeszłość, ale nie jesteśmy już tacy jak dawniej. Jesteśmy odmienieni na zawsze.

Wówczas nie wiedziałam, o co jej chodzi. Pamiętałam parę pogwizdującą w kaloryferze pod oknem w bibliotece i sposób, w jaki włosy panny Minifred musnęły jej policzek, gdy pochyliła się do przodu. Podobało mi się brzmienie słów i zachowałam je sobie w pamięci na później.

Sophie nie chciała opuścić plaży. Rozbeczała się, lecz tata wziął ją na ręce i powędrowaliśmy wolno przez miasto. Gdy Sophie przestała płakać, tata postawił ją na ziemi. Przez chwilę patrzyła na niego wilkiem, marszcząc czoło. Potem ujęła go za rękę.

- Przebaczenie - powiedział tata do mamy.

Szli na przedzie, a światło bijące z nieba zaczęło blaknąć. Czerwone kaloszki Sophie klaskały po chodniku. I nagle Sophie zaczęła stepować. „Ja i mój cień”. Stanęliśmy w miejscu, mama

66

się roześmiała. Mijający nas przechodnie też się uśmiechali, a tata dołączył do Sophie. Tańcząc uśmiechał się do mamy ponad głową Sophie, a niebo pociemniało, gdy nadciągnął zmierzch. Wtedy ruszyliśmy w drogę.

Wspinaliśmy się na wzgórze, gdzie stał nasz dom, zeszłoroczna trawa chrzęściła pod stopami.

A kiedy wraz z Łałem wyprzedziliśmy resztę, przebiegając przez łąkę suchej cykorii i tawuły, i wdrapaliśmy się na wzniesienie, ujrzeliśmy, że ona siedzi w ciemności na werandzie. Matka Sophie.

Życie zatoczyło krąg.

Rozdział piętnasty

Stanęliśmy jak wryci. Oboje wiedzieliśmy. Lalo, jakby pamiętając o

wskazówce z przeszłości, stanął przede mną. Byrd podeszła do nas cicho, a ja odwróciłam się, by jej powiedzieć, ale ona również wiedziała.

Zdradzała to jej stężała z nagłą twarz i surowe spojrzenie, jakim zmierzyła kobietę na werandzie. Byrd otuliła się szczelniej kurtką i wygładziła ją przy guzikach, jakby się do czegoś szykowała. Zza wyniosłości wzgórza dobiegł śmiech mamy i głos ojca.

Zacisnęłam zęby. Miałam ochotę odwrócić się i zawołać do rodziców, by zabrali Sophie, odwrócili się i uciekli jak najdalej. Lalo odgadł te myśli, gdyż chwycił moją rękę, by zatrzymać mnie w miejscu.

- Larkin - wyszeptał.

Trwało milczenie. Nieznajoma ani drgnęła.

- Larkin - powtórzył Lalo. Nigdy jeszcze nie słyszałam, by tak wymawiał moje imię. Z wielkim smutkiem, jakby próbował powiedzieć, że wie, jak jest mi źle, i zarazem, jakby starał się mnie chronić. Otulał mnie moim imieniem niby długim wełnianym szalem.

I wtedy usłyszeliśmy głosik Sophie. Kobieta gwałtownie podniosła się z krzesła i podeszła do schodków werandy, stając w przygasłym świetle wieczornym. Wpiła palce w balustradę, my zaś odwróciliśmy się, gdy rodzice i Sophie zjawili się na ścieżce.

Mama szła na przedzie, Sophie siedziała na ramionach taty. Mama, widząc, że tkwimy w miejscu, zbliżyła się do nas zdziwiona.

- Co?... - zaczęła i wtedy zauważyła matkę Sophie.

68

To było jak w filmie o zwolnionych obrotach: Byrd wyciągnęła rękę, na twarzy mamy pojawił się z wolna wyraz zrozumienia, po czym jej twarz, tak jak twarz Byrd, zastygła w maskę, która wcale nie przypominała

mamy. Odsunęła się od Byrd, zrobiła krok w stronę taty, byle dalej od tej kobiety, która już przestała interesować się nami. Wszystko w jednej chwili.

- Sophie - wyszeptała kobieta.

Tata lekko się potknął, a potem stanął bez ruchu, wpatrując się w matkę Sophie. Po chwili podszedł do mamy. Otoczył ją ramieniem. Sophie pochyliła się i ze śmiechem zaczęła klepać mamę po głowie.

- Moja mała - powiedziała kobieta.

Sophie wyprostowała się. Przez chwilę bacznie przyglądała się kobiecie.

- Nie mała - zaprotestowała.

Twarz jej matki powoli się skurczyła. Kobieta wybuchnęła płaczem, usiadła na schodkach werandy i zakryła oczy dłońmi.

Byrd nabrała tchu i poruszyła się, lecz powstrzymał ją głos mamy.

- Sophie - mama wyciągnęła ręce i zdjęła małą z ramion taty. Zniosła ją na werandę, posadziła obok kobiety. I wówczas wymówiła słowa, które powiedzieć było najtrudniej:

- To twoja mama.

Na zawsze wryły mi się w pamięć pewne szczegóły, gesty - wyraz oczu mamy, twarzy ojca, sposób, w jaki Byrd siedziała - tak sztywno, ostrożnie, jakby bała się, że wiatr ją może przewrócić. Czasami to wszystko powraca bez przerwy, jak nuty i rytm piosenki.

Nasze kurtki zawisły w szafie w holu. Buty były ustawione parami, oprócz butów Sophie. Tata dźgnął szczapę pogrzebaczem, przesunął i dźgnął jeszcze raz. Pogrzebacz, zawieszony na haku, runął w palenisko z okropnym łomotem. Byrd tkwiła

sztywno na krześle, skrzyżowawszy nogi w kostkach, mama siedziała na kanapie. Matka Sophie stała, wpatrując się w małą, która miała na sobie botki i sweterek zrobiony przez Marvelę, z przydługimi rękawami zawiniętymi w nadgarstkach. Sophie przycupnęła na podłodze i zaczęła powoli budować wieżę z klocków. Czerwony na niebieski, a na to zielony...

- Julia? - upewniła się mama.

Julia. Trudno było przywyknąć do tego, że ma imię. Zawsze mówiliśmy o niej „matka Sophie”. Mama podała jej filiżankę z herbatą.

- Tak więc... - powiedziała.

Julia westchnęła, a potem spojrzała na mnie i Lala. Staliśmy przy drzwiach wejściowych.

-Może porozmawiamy na osobności... - poprosiła cichym, niskim głosem. Nagle Sophie podniosła na nią wzrok, jej rączki zastygły nad klockami. To spojrzenie. Czy pamięta swoją matkę? Czy za nią tęskni? Kiedyś, dawno, zadawałam mamie te pytania. To spojrzenie. Lalo poruszył się nieznacznie, ten nikły ruch był jak westchnienie.

- Nie - zaprzeczyła Byrd z tak niezmaconym spokojem, że zwróciliśmy na nią oczy. Wszyscy oprócz Sophie, która wpatrywała się w swoją matkę.

- Wszyscy tutaj obecni byli rodziną Sophie, od chwili gdy... -przerwała -
gdy ją zostawiłaś.

Julia drgnęła, po czym usiadła przy kominku.

- Każdy z nas kołysał Sophie, czytał jej, ocierał łzy, śpiewał piosenki. Lalo nauczył ją, jak przesyłać buziaka, czasami mała spała z Larkin. Malowała z Lily i tańczyła z Johnem - Byrd umilkła na chwilę. - Wszyscy byliśmy rodziną Sophie.

Zapadła cisza.

Julia spojrzała na Byrd, a potem przez chwilę przyglądała się Lalowi i mnie. Odwróciła się w stronę Byrd.

- Dlatego właśnie was wybrałam - powiedziała cicho.

70

I wtedy po raz pierwszy się uśmiechnęła. Lalo odwrócił głowę i zerknął na mnie. Nie mogłam się zdobyć na to samo, lecz wiedziałam, o co mu chodzi. Julia uśmiechała się tak samo jak Sophie.

Tata usiadł obok mamy. Ujął ją za rękę. A Julia zaczęła mówić.

- Obserwowałam was ostatniego lata - wyznała. Sophie wstała z podłogi i podeszła do kominka.

- Gorące - ostrzegła odruchowo Julia. Sophie podniosła na nią wzrok.

- Ogień jest gorący - powiedziała.

- Sophie mówi - szepnęła Julia.

- Sophie mówi - powtórzyła szeptem mała.

Julia przełknęła ślinę. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

- Ojciec Sophie zachorował - wyjaśniła bardzo cicho. - Wiedzieliśmy, że musi przejść operację, a potem będzie wymagał stałej opieki. Mojej opieki. O ile przeżyje. Nie mieliśmy nikogo. Wówczas zobaczyłam was. -

Przerwała i odwróciła się w kierunku Byrd. - Moi rodzice nie byli dobrymi rodzicami - powiedziała bezbarwnym głosem. - Nigdy nie pozwoliłabym im opiekować się Sophie. Przenigdy. Nie chciałam też, by Sophie poszła między obcych. A wy nie wydawaliście mi się obcy.

- Napisałaś... - zaczęła mama, lecz głos jej uwiązł w gardle. - Napisałaś, że jest lepiej.

- Ojciec Sophie wyjdzie z tego - usłyszałam głos Julii. Tata poruszył się na

kanapie.

- Podjęłaś wielkie ryzyko - stwierdził.

Do tej pory się nie odzywał. Julia spojrzała na niego, a potem obrzuciła wzrokiem nas wszystkich.

- Taka już dola matek - powiedziała. Nikt się nie odezwał.

Chciałam ją znienawidzić. Chciałam, by odeszła i zostawiła nam Sophie.

Pragnęłam nigdy więcej jej nie oglądać. Nigdy. Nie

71

mogłam jednak wykrzesać z siebie nienawiści do tej kobiety, gdyż w ciszy, jaka zapadła w pokoju, Sophie podeszła do swojej matki. Bez słowa. Przez chwilę patrzyły na siebie. Potem Sophie wyciągnęła rączkę. Julia ujęła ją, a mała zaczęła poruszać dłonią w górę i w dół. Coś znajomego z dalekiej przeszłości.

Po policzkach ojca zaczęły płynąć łzy.

Kręgi.

Prom stał w porcie. W porannym świetle wydawał się stary i zniszczony.

Widać było liczne plamy rdzy i smugi wyżarte w farbie przez morską

wodę. Wiatr był porywisty, a niektóre podmuchy tak silne, że Byrd

musiała się opierać na ramieniu Lala. Trzy samochody i pusta ciężarówka

wjechały na prom, smętnie łomocząc po metalowym trapie. Potem weszła

na pokład garstka pasażerów, którzy oglądali się, machając znajomym na

brzegu. Tata trzymał Sophie na rękach i przytulał ją mocno do siebie.

Oddalił się nieco od nas, idąc wzdłuż wybrzeża. Sophie wskazała niebo.

Tata powiedział coś, a mała uśmiechnęła się.

Ujrzałam Griffeya, Rolliego i Arthura przy zbiorniku z paliwem.

Wyglądali jakoś dziwnie bez instrumentów. Staruszek Brick siedział w

furgonetce i patrzył przez okno. Nie wysiadł. Rodzice Lala nadeszli chodnikiem, nadjechał też doktor Fortu-nato i zatrzymał samochód tuż przed wejściem na drewniane molo. Otworzył drzwi i stanął przy nich, obserwując nas. Rebel tkwił na motocyklu, a panna Minifred zsiadła z tylnego siodełka. Silny podmuch wiatru zwał jej włosy na twarz. Rebel podał jej swój szal, nawet się nie oglądając.

Julia zwróciła się do mamy.

- Pozostało mi tylko powiedzieć: dziękuję. Mama ujęła ją za rękę i obie spojrzały na tatę.

- John.

Mama zawołała to bardzo cicho, lecz usłyszał pomimo szumu wiatru.

72

Przez chwilę stał nieruchomo. Potem ucałował Sophie. Wrócił do nas. Podał Sophie matce. Byrd wyciągnęła ręce i zawiesiła na szyi Sophie wisiorek z rubinem.

Julia odwróciła się i, z małą wyglądającą sponad jej ramienia, weszła na prom. Sophie wlepiła w nas pełne powagi oczy. Zerknęłam na tatę.

Wpatrywał się w Sophie, jakby próbował ją zapamiętać. Sophie nie uśmiechała się. Jednak zanim zniknęła nam z oczu, wyciągnęła zwiniętą w piąstkę rękę ponad ramieniem Julii. W odpowiedzi dłoń taty pokazała papier i nożyczki. I wtedy Sophie się uśmiechnęła.

Rozdział szesnasty

W milczeniu wspieiliśmy się na wzgórze, przecięliśmy pole i minęliśmy staw, po którym wiatr przeganiał fale. Nawet Lalo się nie odzywał. W pewnej chwili wiatr porwał kapelusz Byrd, ale tata go pochwycił i oddał jej bez słowa.

W domu panował chłód i czuć było swąd wygasłego paleniska. Tata podszedł do kominka i zapatrzył się w popiół, jakby czekał, aż buchnie stamtąd płomień. Mama zdjęła czapkę, oparła się

o drzwi wejściowe i wbiła oczy w przestrzeń przed sobą. Byrd pochyliła się i podniosła książeczkę. Książeczkę Sophie. Potem wyprostowała się.

- Musimy porozmawiać - oświadczyła cicho. Tata odwrócił się.

- Nie teraz - zaprotestował. Przybrał oficjalny wyraz twarzy, lecz głos mu się rwał, niby smużka dymu.

Mama zdjęła płaszcz i ruszyła w stronę pracowni.

- Nie możesz odejść, pozostawiając to za sobą, jakby nic się nie stało - powiedziała Byrd i zamilkła na chwilę. - Tak jak było z dzieckiem - dodała.

Mama zatrzymała się. Tata spojrzał na Byrd. Ja również.

I wtedy zawyła syrena na promie. Straszny, stłumiony dźwięk dobiegał spoza zamkniętych drzwi. Tata wzdrygnął się, a jego twarz się skurczyła.

Gdy syrena przebrzmiała, zapanowała taka cisza, że słyszałam oddech stojącego w pobliżu Lala.

-Dlatego właśnie musimy porozmawiać - powiedziała łagodnie Byrd.

Twarz mamy zmieniła się. Zdawała się przezroczysta, jakby wszystkie uczucia znalazły się nagle tuż pod powierzchnią skóry. Usłyszałam odgłos otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych, a gdy się odróciłam, Lala już nie było.

74

- Chodźcie. Usiądźmy. - Byrd mówiła sztucznym, niemal przyjaznym tonem, jakby składała jakąś miłą propozycję.

Nikt z nas się nie poruszył.

- Wobec tego ja usiądę - oświadczyła Byrd. - Jestem stara -dodała.

Podeszła do krzesła przy kominku. Spojrzała na mnie.

- Jeśli pomówimy o Sophie, będziemy mogli porozmawiać o bracie Larkin. O dziecku, którego nigdy nie widziała. Bezimiennym dziecku.

Przeszłam przez pokój i siadłam na kanapie.

- Słowa - rzuciła Byrd. Uśmiechnęła się leciutko, dzięki czemu zebrałam się na odwagę i zawołałam:

- Nawet Sophie miała słowa!

Tata przyglądał mi się przez chwilę, a potem odwrócił się do mamy stojącej po drugiej stronie pokoju. Zrobił głęboki wydech, jakby przez długi czas wstrzymywał powietrze. Podeszedł do mamy i ujął ją za rękę.

- Słowa, Lily - powiedział. - Nie malowanie. Nie taniec. Słowa.

Mama stała nieporuszona, wyglądała jak krucha rzeźba, która może rozlecieć się, jeśli się ją tknie. Tata objął mamę, spojrzał na mnie i zaczął mówić.

- Miał ciemnoniebieskie oczy, Larkin. Ciemne, a zarazem błyszczące. Jak gwiazdy - wyszeptał.

Wpatrywałam się wciąż w tatę. Byrd poruszyła się.

- Jego ręce... - zaczęła cicho mama. - Miał takie długie palce jak Larkin. I poważne, zamyślane spojrzenie.

Popatrzyłam za okno i dostrzegłam odległą smużkę dymu nad promem.

Mama usiadła przy mnie. Podczas gdy prom uwoził Sophie w dal, w wyziębionym, cichym pokoju daliśmy dziecku na imię William.

Na cmentarzu było ciepło, nisko na niebie wisiało popołudniowe słońce. I my, i nagrobki tonęliśmy w ukośnych promie-

niach, upodabniając się do siebie. Jedynym docierającym tu dźwiękiem było miarowe jak bicie serca dudnienie fal, które rozbijały się o brzeg. Wszyscy, którzy tu byli z nami, już sobie poszli: Griffey i Rollie z chłopcami zaśpiewali piosenkę, doktor Fortunata, panna Minifred i Rebel położyli różę na małym nagrobku z wyrytym w kamieniu imieniem - WILLIAM. Lalo rozplakał się razem z Byrd, gdy ojciec powiedział:

- Tak bym chciał móc z nim zatańczyć.

Mama objęła Byrd i stały tak przez chwilę w smudze światła, podczas gdy pozostali schodzili ze wzgórza. Potem wracaliśmy do domu przez miasto, mijając sklepy i domy.

- Czy zobaczymy ją jeszcze kiedyś? - spytałam Byrd. - Sophie?

Nikt nie wyglądał na zaskoczonego. Tata uśmiechnął się do mnie. Teraz było łatwiej rozmawiać o Sophie.

- Tak - odparła Byrd. - Zobaczysz ją. Kiedyś. Mama spojrzała na Byrd z ukosa i uśmiechnęła się.

- Pamiętacie, jak wracaliśmy wtedy z Sophie do domu? - spytała. - Ze spaceru po plaży? Gdzieś tutaj - wskazała ręką -i mniej więcej o tej porze Sophie zaczęła tańczyć.

Szłam na przedzie i odwróciłam się. Zobaczyłam włosy Byrd, srebrzące się w świetle słonecznym, rodziców trzymających się za ręce, Lala, którego spojrzenie zdawało się mówić wiem, co zamierzasz. Bo, oczywiście, wiedział.

Zaczęłam stepować. Tata aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Byrd uśmiechnęła się.

Ja i mój cień

po mieście się włączymy.

Ja i mój cień

wygadać się przed kim nie mamy.

- Już umiem - powiedziałam.

Uśmiechnęłam się szeroko, widząc, jak osłupieli. I nagle, nie wiedzieć czemu, wciąż jeszcze tańcząc, zaczęłam płakać.

Lato

dziesięć lat

później

Wspomnienia napływały przez cały czas, tłoczyły się, miała ich pełno w głowie. Przychodziły przysłonięte mgłami, chmurami, nie ukazując do końca tego, co kryło się za nimi. Chmury i twarz ledwie widoczna.

Chmury. I ta twarz.

Rozdział siedemnasty

Wsparte o reling statku patrzyłyśmy na ląd, który właśnie zjawił się w zasięgu wzroku. Towarzyszyły nam ptaki, niestrudzenie krążąc nad parowcem. Jedna z mew tak zniżyła lot, że prawie mogłyśmy jej dotknąć. Ten dzień miał już przedsmak lata. Zobaczyłam, że Sophie przygląda się wyspie. Objęła wzrokiem urwiska na jej najdalszym krańcu, a potem widoczne już dobrze miasto, port, kościół, a wreszcie wzgórze, na którym znajdował się cmentarz.

Sophie była wysoka, sięgała mi prawie do ramienia. Jej włosy straciły płowy odcień typowy dla dzieci. Teraz były takie jak moje. Na jej szyi wisiał czerwony rubin na łańcuszku.

Odwróciła się do matki.

- Długo tu byłaś? - spytała.

- Spędziłam na wyspie tylko jedno lato - odparła Julia. - Tamto lato -

powtórzyła ciszej, jak echo. Uśmiechnęliśmy się do siebie.

Statek minął falochron, a Sophie ledwie zdążyła zatkać uszy dłońmi, gdy zawyła syrena.

- Pamiętasz syrenę - stwierdziłam.

-Naprawdę? - zdziwiła się. - Czasami... - przerwała na chwilę, po czym ciągnęła dalej: - Czasami pamiętam coś, lecz nie wiem, z czym to się wiąże. - Odwróciła się i wlepiła we mnie oczy. Spojrzenie było znajome, przypominało mi małą Sophie.

- Pamiętam jakąś twarz - powiedziała.

Statek zawinął do portu, a Sophie wyjęła z kieszeni wygnieciony od wielokrotnego czytania wycinek z gazety. Była w nim mowa o życiu, śmierci i miejscu pochówku.

Byrd.

78

- Czy ich poznam? - spytała Sophie. -A oni mnie? Julia uśmiechnęła się.

- Widziałaś zdjęcia - przypomniała. - I te wszystkie listy... -przerwała. -
Pewnie tak. Jakoś ich rozpoznasz.

- Oni ciebie na pewno - zapewniłam.

Statek przybił powoli do brzegu. Zarzucono i przywiązano cumy.

Zeszliśmy po trapie na ląd.

- Czy oni wiedzą, że będę? - spytała Sophie. Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Nie miałam pewności, czy przyjedziesz - odparłam.

Szliśmy chodnikiem, mijałyśmy domy i sklepy, aż znalazłyśmy się w pobliżu pensjonatu rodziców Lala. Nagle Sophie stanęła. Serce mi żywiej zabiło.

- Tutaj tańczyłaś - powiedziałam.

Sophie się nie odezwała. Potem wzięła mnie za rękę. We-szliśmy na murawę, byliśmy już na cmentarzu. Julia przystanęła i dotknęła ramienia Sophie.

- Idźcie przodem - rzekła. Sophie spojrzała na nią.

- W porządku - Julia uśmiechnęła się. - Będzie dobrze - dodała cicho.

Na szczycie wzgórza stali ludzie odrócenii do nas plecami. Zaczęliśmy iść na górę, wciąż trzymając się za rękę. Sophie obejrzała się na stojącą u podnóża zbocza matkę, której postać zdawała się teraz bardzo mała.

Gdy byliśmy już niemal przy grobie, skąd dobiegał szmer ściszonych głosów, Sophie podniosła oczy na podłużne, rozmyte chmury wiszące wysoko na niebie.

- Pierzaste obłoki - wyrwało jej się nagle. - Obłoki jak końskie ogony.

Na dźwięk jej głosu Lalo odwrócił się i wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Potem uśmiechnął się szeroko. Sophie też się uśmiechnęła. Nagle jednak przystanęła.

79

Pierzaste obłoki, podobne do końskich ogonów, brodenie w przybrzeżnym piasku, czapka porwana przez wiatr, szept tuż przy uchu. Pierzaste obłoki i ta twarz.

Tata stał przy małym nagrobku, na którym wyryto imię, WILLIAM. Nie widział Sophie. Ale, zanim jeszcze pastor zaczął przemawiać, Sophie puściła moją dłoń i podeszła do taty. Odwrócił się i przyjrzał jej.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

Kamień.

Papier.

Nożyczki.

ISIS